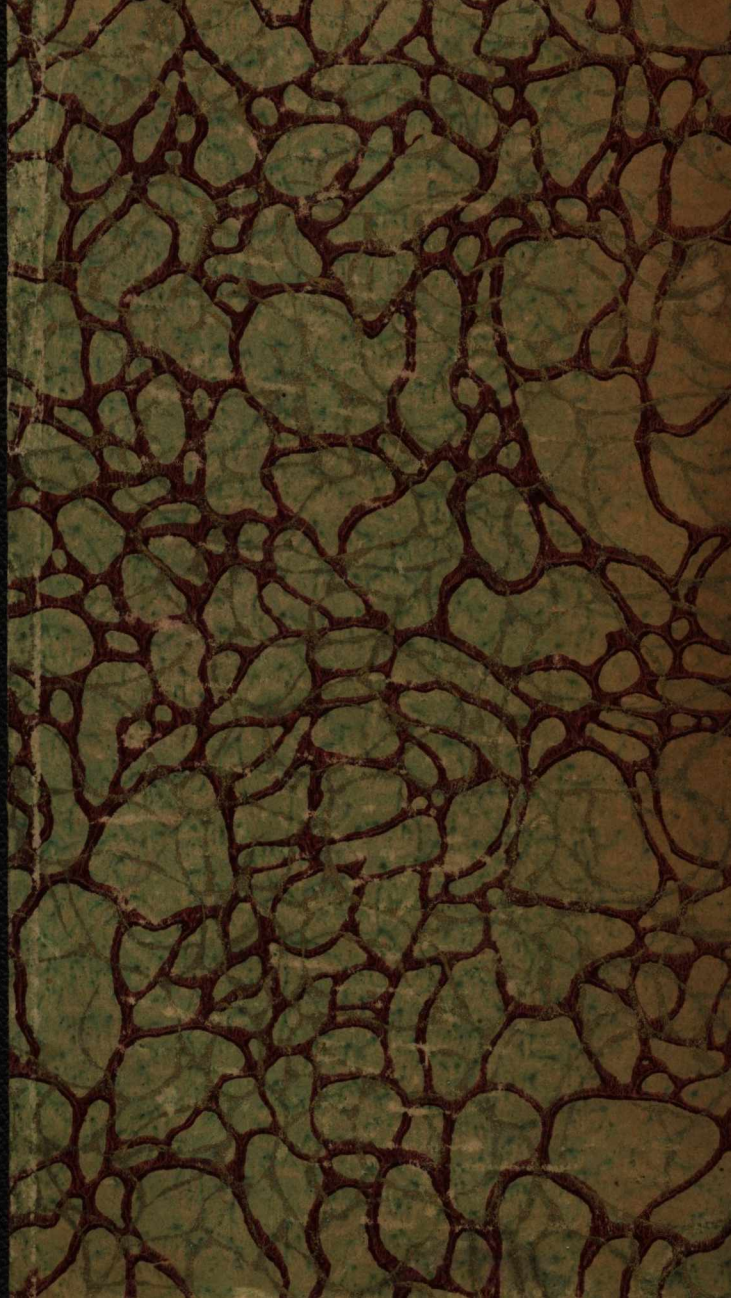




MICHAŁ SIEDLECKI

PARYŻ 1919

WRAŻENIA I WSPOMNIENIA

KRAKÓW 1919. G. GEBETHNER I SPÓŁKA

PARYŹ 1919



1000171915

M. SIEDLECKI

PARYŻ 1919

WRAŻENIA I WSPOMNIENIA



KRAKÓW

G. GEBETHNER i SPÓŁKA

1919

MICHAŁ LITVINSKI

A. 24561

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE.

Liter 13a₁

UNIBIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

K. 1564/58/56

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE

Powróciwszy z Paryża w końcu lutego r. 1919, opowiadałem swe wrażenia w gronie przyjaciół; wielu z nich wyraziło przekonanie, że wartoby te wspomnienia utrwalić i podać do publicznej wiadomości. Czyniąc zadość tym propozycjom, spisałem niniejszą książeczkę. To co w niej podaję, to wyłącznie tylko własne obserwacje lub rzeczy, o których wieści sam zebrałem; podaję je tak, jak się o mnie obity, bez względu na to, co może nakazywałaby polityka prowadzona przez jakąś „partyę“. Mogę to zaś uczynić, ponieważ nie jestem politykiem ani też do żadnej „partyi“ nie należę.

Zdaję sobie z tego sprawę, że niektóre z mych wspomnień, wobec szybkiego biegu zdarzeń obecnych, już mogły stracić na aktualności. Wiemy np., że już wojska nasze jadą do Polski, że Komitet Narodowy ma się zlikwidować itp.; może jednak moje obserwacje mogłyby się przydać na to, by ocenić wartość i działalność pewnych osób albo instytucji lub też krytykę, z jaką się do nich odnoszono. Może też niektóre z mych uwag przyczynią się do uzgodnienia zapartywian; pragnąłbym bardzo, aby tak było istotnie!

Kraków, 28 Kwietnia 1919.

M. S.

DO PARYŻA.

Na początku grudnia 1918 przyszła do Krakowskiego Książęco-Biskupiego Komitetu pomocy dla ofiar wojny w Polsce (K. B. K.) depesza iskrowa, wysłana z Konstantynopola, lecz podana do Krakowa przez stację budapeszteńską. Była ona wysłana z Londynu przez osobę, podpisaną na telegramie jako Storencki, tytułującą się „*représentant du gouvernement britannique*”. Treść jej zawierała doniesienie, że rząd angielski przyznał dla biednych w Polsce żywność i ubrania oraz prośbę, by podać ilość nędzarzy, ilość najpotrzebniejszych środków odżywczych oraz materiałów tkackich. Ta depesza była przez stację budapeszteńską przetrzymana przez dwa tygodnie. Otrzymałszy ją, choć z tak wielką zwłoką, postanowił wydział wykonawczy K. B. K. poinformować się o jaką to sprawę chodzi, kto to jest ten pan Storencki i jakiej pomocy można się spodziewać. Zwrócono się po informację do Warszawy i przekonano się, że taka sama depesza, wysłana pod adresem K. B. K., została przejęta przez stację warszawską w tym samym czasie, kiedy i Budapeszt ją otrzymał. Zakomunikowano

ją Radzie głównej opiekuńczej w Warszawie, dowiedział się o niej rząd, wówczas jeszcze p. Moraczewskiego, lecz, rzecz dziwna, do Krakowa i właściwego adresata jej nie przesłano, a tylko w samej Warszawie zaczęto gromadzić dane w sprawie pomocy dla biednej ludności. Podpis na depeszy: „Storencki“, jak się okazało, miał oznaczać „Sobański“, reprezentant paryskiego Komitetu Narodowego przy rządzie angielskim.

Wobec tego, że depesza zdała się obiecywać wydatną pomoc dla instytucji K. B. K. i biednej ludności, wydział wykonawczy postanowił wysłać delegata do Paryża, do polskiego Komitetu Narodowego, by się o rozmiarach całej akcji przekonać, by ofiarować pomoc K. B. K. w akcji rozdzielczej, uzyskać pomoc dla zagrożonych instytucji, utrzymywanych przez K. B. K., i wogóle starać się o pomoc dla ludności polskiej z jakiegokolwiek bądź źródła. Wybór padł na mnie i to było powodem mej podróży do Paryża w czasie kongresu pokojowego.

Ponieważ w tym samym czasie, prawie równocześnie ze sprawą K. B. K., Uniwersytet Jagielloński nadał tytuł doktora honorowego prezydentowi Wilsonowi i prez. min. p. Clemenceau, więc mnie też polecono, bym wystarał się o audyencye u tych osób i zawiadomił je o tytułach. Wygotowano odpowiednie adresy i listy uwierzytelniające dla mnie, ja zaś rozpocząłem starania o paszport.

Na początku grudnia 1918 r. sprawa paszportów nie była jeszcze wcale uregulowaną, bo też i ustrój rządowy państwa polskiego jeszcze nie był zbudowany.

W Warszawie Rząd polski reprezentował gabinet p. Moraczewskiego, a sprawy zagraniczne dzierżył w rękach p. Wasilewski; w Krakowie działała Komisya P. likwidacyjna, mająca również swoje stosunki z zagranicą; Lwów miał swój Komitet rządzący, Cieszyn swą Radę Narodową — słowem podczas wyjazdu z Polski można się było zaopatrzyć w różnorodne legitymacye. Z doświadczenia tych ludzi, którzy byli już w Paryżu, wiedziałem, że tak zwany dyplomatyczny paszport, wydany przez Komisję likwidacyjną w Krakowie, wystarczał zupełnie do przejazdu przez liczne granice nowych i starszych państw, dzielących nas od Francyi; zwróciłem się więc do Komisyi likwidacyjnej i dzięki uprzejmości biura prezydyalnego w ciągu pół godziny otrzymałem paszport dyplomatyczny, na arkuszu papieru, drukowany w trzech językach: polskim, niemieckim i francuskim, z pieczęcią z orłem polskim — prawdziwy polski paszport. Było tam na nim parę błędów ortograficznych w francuskim tekście, był tekst niemiecki, wcale niepotrzebny na papierach dyplomatycznych, jak gdyby wspomnienie niedawnych jeszcze stosunków z Wiedniem i Berlinem, ale te usterki nie zmieniały faktu, że to naprawdę polski dokument, uprawniający do podróży. Czeski konsul w Krakowie dał na nim wizę państwa czesko-słowackiego.

Kto przez lata całe podróżował za paszportem austryackim, kto w dalekich krajach musiał zwracać się o pomoc do konsulów austryackich, a nawet, jak n. p. w Singapore do konsulów niemieckich, uprawnionych przez Wiedeń do zastępstwa interesów Austrii; kto

podczas wojny był zmuszony w okolicy Gdańska legitymować się Niemcom, pokazując im znieprawdzonego dwugłowego orła jako znak, chroniący od brutalności germańskiej — ten dopiero w całej pełni jest w stanie odczuć rozkosz posiadania polskiego, własnego paszportu, tego symbolu własnego państwa, własnego rządu! To na pozór drobnostka a tak bardzo wielką i radosną treść w sobie zawiera!

Choć o wyjeździe moim do Paryża niewiele tylko osób było powiadomionych, jednak zgłosiło się ich sporo z różnymi sprawami. Ten pragnął przesłać wiadomości rodzinie, ów wyszukać zaginionych krewnych; kilka pań prosiło o wieści o nowych modach lub o przywiezienie jakich drobiazgów do stroju. Zebrało się interesów prywatnych dość dużo. Ja sam tymczasem zbierałem daty statystyczne, odnoszące się do zapotrzebowania mąki, tłuszczów, mleka zgęszczonego itp. dla całej Polski lub przynajmniej dla Galicyi. Wreszcie dnia 19. grudnia 1918 r. wyruszyłem pospiesznym pociągiem ku Wiedniowi.

Śląsk cieszyński wraz z Boguminem był wówczas w rękach polskich. Pociąg pospieszny ogrzany, posiadający szyby i wcale znośnie czysty, sunął w zwykłym tempie. Była w nim gromadka Czechów udających się do Pragi na uroczystość tryumfalnego wjazdu prezydenta Masaryka; jechał też z Krakowa malarz Vlastimil Hofmann z żoną, by wziąć udział w tym obchodzie. Przesuwali się też i Niemcy, którzy z Polski wyjeżdżali do ojczyzny; ci między sobą rozmawiali o różnych „okropnościach“, jakie u nas dzieć się będą, o niepo-

rządku, o surowej rewizyi celnej i tym podobnych strasznych rzeczach. Tymczasem na stacyach kolejowych był ruch normalny, pociąg biegął ze zwykłą szybkością, służba w nim grzeczna i spokojna słowem stosunki prawie że takie jak za czasów pokojowych. Na stacyi w Boguminie odbyła się rewizya celna i przegląd paszportów. Urzędnicy polscy w towarzystwie żołnierza w maciejówce z legionowym orłem przeszli przez wagon daleko spokojniej i grzeczniej niż za czasów austriackich. Niemcy i Czesi, którzy „okropności“ się spodziewali, mieli jakieś głupio zdziwione miny i na chwilę umilkli, na to jednak, by po wyruszeniu w dalszą drogę znów mówić o „anarchii w Polsce“. Musiałem wreszcie na to dość ostro zareagować, poczem po chwilowem milczeniu rozmowa toczyła się dalej w dziwnie słodkim tonie o rzeczach obojętnych.

Poza Boguminem, na czesko-słowackiej części Śląska, Moraw i Austrii dolnej wszystkie stacje ustrojone choiną, kwieciami, herbami Czech i napisami; — wszystko to na dzień święta narodowego, na powrót Masaryka. Nawet Hodonin, rodzinne jego miasto, ustroiło się świątecznie. *Qualis mutatio rerum!* Ten sam Hodonin, by się Austrii przypodobać, już podczas wojny odebrał obywatelstwo honorowe prezydentowi Masarykowi, któremu nadał je przed paru laty; jaki to ładny przykład „stałej i niezmienniej nienawiści do Austrii“, którą Czesi tak teraz pyszną się wobec państw koalicji!

W Brzeclawie (Lundenburg) odbyła się rewizya czeska; znów cała ta operacya polegała na przejrzeniu

paszportu i zupełnie powierzchownem przejrzeniu pakunków; były to czasy, kiedy stosunki czesko-polskie nie były jeszcze zaostrome, mimo tego, że Czesi już zupełnie otwarcie wysuwali żądanie zagarnięcia Śląska Cieszyńskiego z powodów „historycznych“, wbrew zasadzie nacyonalistycznej Wilsona.

Nareszcie około 3-ciej w nocy dobił pociąg do Wiednia; na dworcu było trochę automobilów i dorożek żądających jednak niesłychanych sum za jazdę do środka miasta. Wobec tego przenieśliśmy pakunki do najbliższego hotelu, gdzie za 9 koron 40 hal. dziennie, bez trudu dostałem taki pokój, za który płacono się w pierwszych latach wojny conajwyżej 3 korony, a dawniej dwie.

Pierwsze kroki na drugi dzień skierowałem na ulicę Rennweg 1, gdzie w domu będącym własnością dawnego ministerium dla Galicyi mieści się polskie poselstwo. Przy drzwiach wchodowych małe tabliczki z napisami w polskim i niemieckim języku, oznaczającymi, że tu mieści się polskie poselstwo i polski konsulat. W sieni portyer w liberyi z dawnych, austriackich czasów, rozmawia po niemiecku lub w łamanym czesko-polskim, mieszanym języku; na trzecim piętrze oddział wiedeński komisji likwidacyjnej i biuro posła, wówczas p. Gałęckiego, na drugim poselstwo. Ruchu dość dużo, na schodach kręci się trochę żydów-handlarzy i różne osoby zaskoczone wojną w obcych krajach, a teraz zdążające do Polski. W legacji polskiej, w przedpokoju biura pana posła polskiego przyjmuje mnie służący w mundurowym fraku austriackim, ma

całą pierś zawieszoną medalami i krzyżami za zasługi około dobra Austrii; w poczekalni jedną ścianę zajmuje ogromny portret cesarza Franciszka Józefa o dobroduszenie uśmiechniętym wyrazie twarzy. Dziwna rzecz, że też nie przyszło nikomu na myśl, by z polskiego poselstwa usunąć te znaki niewoli; czy to opieszałość czy brak woli, tego nie umiem ocenić, w każdym razie dość to dziwne, że w polskim poselstwie przechowuje się te zabytki, kiedy równocześnie w niemieckich gazetach nowej Austrii ogłaszają reskrypt, mocą którego portrety cesarzy mają być ze szkół i urzędów usunięte i albo oddane do muzeów, jeśli mają wartość artystyczną, albo nawet mogą być zniszczone, jeśli wcale wartości nie mają.

W poselstwie niestety nie zastałem posła p. Gałęckiego, który na jeden dzień do Krakowa wyjechał; uprzejmy sekretarz, Radca legacyjny Dr. H. obejrzał mój paszport i powiedział, że właśnie niedawno otrzymało poselstwo surowy nakaz od Ministerium spraw zagranicznych z Warszawy (p. Wasilewskiego), żeby nie uznawało za ważne innych paszportów, prócz wydanych wprost przez Ministerium warszawskie; mój więc paszport jest nieważny, ale on zaraz zatelegrafuje do Warszawy o pozwolenie uznania mego dokumentu, a równocześnie poczyni kroki u zastępcy rządu warszawskiego w Bernie, by mię wpuszczono do Szwajcaryi i dano pozwolenie na jazdę do Francyi. „Sądzę“, mówił Dr. H., „że to może potrwa do pięciu dni“.

Wiedziałem, że w Wiedniu zawsze trzeba czekać na pozwolenie przejazdu do Francyi, zapytałem się

więc tylko, czy nie byłoby dobrze, bym sam zatelegraował do Berna, do pana Modzelewskiego, przedstawiciela polskiego Komitetu narodowego w Paryżu, o przyspieszenie mej sprawy. Na tę propozycję odpowiedziano mi, że p. Modzelewski wcale niema stosunków z polskiem poselstwem i polskim rządem, zaś jedynym człowiekiem, który może mi ułatwić przejazd jest pan Zaleski, reprezentant rządu warszawskiego i kierownik polskiej agencji w Bernie.

Zdziwiła mię ta informacja, lecz musiałem jej uwierzyć jako oficjalnej i nie pozostało mi nic innego jak tylko czekać cierpliwie.

Po paru dniach zapytałem się o rezultat starań podjętych w mej sprawie; nie było odpowiedzi ani z Warszawy ani z Berna. Z rozmowy z ówczesnym posłem p. Gałęckim dowiedziałem się, że rząd warszawski wyraźnie zastrzegł się przeciw paszportom wydawanym przez Komisję likwidacyjną — widocznie pan Wasilewski chciał mieć zupełną kontrolę nad tem, kto z Polski wyjeżdża do krajów koalicyjnych. Prośba o wizę na mym paszporcie została zatem nieuwzględniona i zależała od zezwolenia z Warszawy, które jakoś nie przychodziło.

Tymczasem zacząłem starania w innym kierunku. Porozumiewałem się z misją włoską w sprawie ewentualnego przejazdu przez Włochy do Francji; za pośrednictwem jednej z polskich arystokratek, mającej wyrobione stosunki w Wiedniu, dostałem się do poselstwa szwajcarskiego i tam uzyskałem przyrzeczenie pozwolenia na przejazd do Szwajcaryi. Kiedy zaś

czekanie zaczynało zbyttnio się przeciągać, sam zatelegrafowałem do p. Modzelewskiego do Berna, gdyż miałem podejrzenia, czy informacye w poselstwie nie były trochę nieścisłe. Później dopiero przekonałem się, że moje podejrzenia były słuszne, a ten właśnie mój telegram wyrobił mi pozwolenie na przejazd. W ten sam dzień, ale było to już po dziewięciu dniach czekania, spotkałem się w poselstwie z Prof. Eugeniuszem Romerem i Janem Czekanowskim, którzy z Warszawy przez Pragę do Paryża jechali. We trzech udaliśmy się do posła Gałęckiego i wreszcie uzyskałem wizę na paszporcie; dostałem więc to, na co przez dziewięć dni czekałem! Telegraficznie zawiadomiliśmy p. Modzelewskiego, aby nam papiery przesłał do Insbruka, załatwiliśmy sprawę przewozu pieniędzy w Centrali Dewiz na giełdzie i wieczorem razem pojechaliśmy do Insbruka.

Przez czas pobytu w Wiedniu miałem sposobność przyrzeć się nieco poselstwu polskiemu i miastu. W polskiem poselstwie tkwiły jeszcze dość głęboko tradycye dawnego ministryum dla Galicyi i wiedeńskiego oddziału N. K. N. Zewnętrzna szata pozostała zupełnie ta sama co za czasów austryackich, te same ruskie kilimy i pożyczone wiedeńskie umeblowanie jakoś nie dawały jeszcze odczuć przemiany tej instytucyi na prawdziwie polską reprezentacyę, tem więcej, że wśród personalu urzędników, zwłaszcza w oddziale prasowym, widać było dość liczne twarze o wybitnie semickim typie, tak charakterystyczne dla oddziałów

prasowych N. K. N. Agendy poselstwa i konsulatu były bardzo liczne i różnorodne; przewijało się tam mnóstwo interesantów, których sprawy naogół załatwiano sprawnie i wcale szybko. Położenie polityczne poselstwa było wówczas bardzo trudne; stworzone zaraz po rozpadnięciu się Austrii, zawisłe od rządu p. Moraczewskiego, było niesłuchanie krępowane w czynnościach rozporządzeniami p. Wasilewskiego, a nie mogło też zbliżyć się do państw zachodnich jako reprezentujące rząd nie uznany przez aliantów. Z konieczności więc działać musiało tylko w sprawach drobniejszych, zaś wielka, światowa polityka zupełnie była dla niego niedostępna, a nawet nieznana, bo służba informacyjna jeszcze nie była wówczas zorganizowana.

Wiedeń robił dziwne wrażenie. Jadąc do niego nasłuchiwałem się opowieści o nędzy, braku chleba i opału; pisano o tem jak to ulice toną w ciemnościach, a ludzie chodzą smutni i przygnębieni. Niczego z tych rzeczy nie zauważyłem. Ulice znacznie lepiej oświetlone niż w Paryżu. Portyer hotelowy, wydziela bez trudności większą porcję chleba niż ją otrzymują mieszkańcy Krakowa; na ulicach mało ruchu kołowego, ale wcale ożywiony ruch pieszy. Wystawy sklepowe pełne towarów zbytkownych; wyborne wyroby skórzane, złotnicze i galanteryjne; sklepy z żywnością pełne wspaniałych okazów kapłonów, dziczyzny i wędlin; wina i wódek ile kto zechciał, słowem, droższych rzeczy dość, a nawet dużo. Był to właśnie czas świąteczny, w sklepach roilo się od kupujących, po ulicach całe gromady ludzi z paczkami wracały wesoło z zakupów — widocznie

pieniądza nie brak! Nędzę widzi się tylko w uboższych dzielnicach, znać ją na bladych twarzach uliczników, znać w niezwykle licznej rzeszy żebraków, zappełniających chodniki na Kärntnerstrasse. Drożyzna odbija się też na restauracjach i kawiarniach, ale to nie przeszkadza temu, by w nich nie było tłumów o zadowolonych twarzach.

Przewrót polityczny znać po spokojnie i dość opieszale krążących patrolach z przepaskami, na których napis „Stadtswache“. W dziennikach pełno artykułów o dawnych komendantach armii i arcyksiążętach, o tem jaki „Schwindel“ który z nich popełniał, jak kradli z Central i magazynów wojskowych. Spadek po cesarzu i cesarstwie rozbiera się powoli. Wspaniała menażerya w Schönbrunn uległa smutnemu losowi; z braku paszy poginęły wielbłądy, żyrafy i bawoły — dano je lwom na pokarm. Lwy i tygrysy giną i marnieją; świetność królewska rozpada się w proch. A poza tem rośnie troska o przyszłość. Dzienniki codzień donoszą o bankructwach wielkich fabryk; miasto wydaje bony kasowe dla braku monety; mnożą się znamiona upadku.

Ludność jeszcze tego tragizmu nie odczuwa. W sklepach spożywczych widziałem kobiety z ubogich klas, jak przed świętami Bożego Narodzenia kupowały flaszki wódki po kilkadziesiąt koron, tłómacząc się, że muszą wypić „Friedensschnaps“. W czasie świąt, wieczorami snuły się całe tłumy pijanych mimo tego, że wyszynki i inne lokale zamykało się około 9-tej wieczorem. W dziennikach pełno domagań się, by już raz nareszcie

otwarto teatry i pozwolono tramwajom jeździć w nocnej porze. Wiedeń i Wiedeńczycy pozostali takimi samymi jak byli — lekkomyślnymi i samolubnymi.

Jedna tylko rzecz mile musi dotknąć Polaka: oto, na głównych ulicach, a zwłaszcza na Kärntnerstrasse i Graben nie słyszeć już języka polskiego! Nareszcie! Z kolonii polskiej pozostali tylko ci, którzy musieli lub byli związani stosunkami. Politycy i nie-liczna garstka arystokracji rozjeżdża się lub już rozjechała; przyczynia się do tego także i strach przed bolszewizmem, którego oznaki czuje się tu dość często.

Wyjechać z Wiednia na Zachód wcale nie łatwo! Ruch na dworcu zachodnim ogromny; całe gromady ludzi czekają po parę dni na bilety lub na miejsce w pociągu. Mimo tych trudności udało nam się dostać zupełnie dobre miejsce w wagonie; jako mającym dyplomatyczne paszporty i jadącym do Paryża okazano nam wszelkie względy i ruszyliśmy ku Innsbrukowi w czterech, t. j. Prof. Romer i Czekanowski, pan Szumański, kartograf-rysownik, i ja. Aż do St. Pölten mieliśmy za towarzyszy podróży dwóch oficerów włoskich, ślicznych, zgrabnych chłopaków, którzy byli przed rokiem więźni do niewoli i trzymani w obozie dla oficerów-jeńców w Siegmundsherberg. Teraz wypuszczono wszystkich na wolność, oni zaś jechali odwiedzić znajomych, a raczej znajome Niemki, które podczas niewoli wiele dobrego im świadczyły, a nawet były zdecydowane ułatwić im ucieczkę! Mówią o nich z powagą i uczuciem

gorącym, ale z równie gorącą nienawiścią mówią o Niemcach i Austryakach. Zwłaszcza jeden z tych oficerów, stale w wojsku służący, nie posiada się z wściekłości, kiedy wspomina czasy niewoli.

„Wie pan“, mówi do mnie, „mieliśmy w Siegmunds-herberg tłumacza, oficera austriackiego, który dobrze mówił po włosku; miał on szczególną rozkosz w tem, by nam przynosić złe nowiny. Wchodzi taki pan do naszej kwatery i mówi: „Dzień dobry! dzisiaj rozpoczęliśmy na nowo ofensywę; wzięliśmy już tyle a tyle tysięcy jeńców włoskich!“ — i patrzy się na nas bezczelnie, jakby chciał studyować wrażenie, jakie na nas ta nowina robi; potem zaraz się wynosi. Jak nas było pięciuset oficerów, przysięgliśmy sobie, że gdziekolwiek go spotka którykolwiek z nas, musi mu wymierzyć policzek! Już go to napewno nie minie“.

„A jakiejże był narodowości ten tłumacz?“ spytałem.

„On? typowy „austriak“, to jest żyd!“ brzmiała odpowiedź.

Prócz Włochów przesunął się koło nas jakiś „Deutschösterreicher“, uciekający do Saksonii; był to żyd, który przy wojsku austriackiem służył jako „ekspert budowlany“, to znaczy zapewne handlarz drzewa i był stacyonowany w Radomsku w Królestwie polskiem; obok niego gromadka Niemców, jadących do Ojczyzny przez Austryę, gdyż boją się jechać przez Czechy, — słowem przewija się obraz likwidacyi stosunków w rozpadającej się Austrii.

Wszyscy ci ludzie wysiadają w Solnogradzie,

natomiast o parę stacyi dalej wsiada oficer francuski z wojska zajmującego pozycye między granicą okupacyi włoskiej a austryackim terenem. Wsiada też bogaty chłop tyrolski, który przez chwilę nas obserwuje, a potem prosi o chleb. Daliśmy mu kawałek, który schował z widoczną wielką radością; znać, że tam w Tyrolu brak środków żywności.

Do Insbruka dobiliśmy późnym wieczorem. Miasto pysznie oświetlone, na ulicach ruch i gwar, przeważa włoski język, a między spokojnymi przechodniami krążą patrole włoskie. Niewiem czy to naumyślnie takie okazowe wojsko Włosi wysłali na okupację Tyrolu, ale ci żołnierze, których się tu widzi, to wspaniałe postacie! Ogromne chłopcy, barczyste, a przytem smukłe, w hełmach z niskim grzebieniem, w długich pelerynach, zarzucanych z fantazyą na ramię, na mocnych a smukłych nogach, zgrabnie ubranych w obwijaki — robią wrażenie rzymskich gladiatorów. Smagłe i wybornie zarysowane twarze o błyszczących oczach, mają cechy jakiejś starej, szlachetnej rasy. Odnoszą się do ludności grzecznie i spokojnie; ludność, zdaje się, że już bardzo wojną zmęczona, przyjmuje tę okupację z zupełnym spokojem, nie tracąc wcale humoru.

Na drugi dzień po przyjeździe widziałem na ulicach tłumy kręcące się i snujące w piękne południe, zupełnie jakby za normalnych czasów; między publicznością prze-wijały liczne gromadki oficerów austryackich z czerwono-białymi guziczkami na czapkach. Włoscy i austriaccy oficerowie mijali się spokojnie i zgodnie, gromadki austryackich wojskowych wszelkich stopni wystawały

bezczyennie po ulicach, przypatrując się przechodniom i nie reagowały wcale ani na patrole włoskie, ani na wyższych wojskowych włoskich, zgrabnie a dumnie kroczących do rozlicznych biur i komend. Widocznie poczucie honoru wojskowego nie musiało być bardzo wysokie u tych austriaków; kiedy się pytałem Niemców, stałych mieszkańców Insbruka, dlaczego ci oficerowie nie pochowają się lub nie wdzieją cywilnego stroju wobec nieprzyjacielskich wojsk okupacyjnych, odpowiadano mi: „Ja, wissen Sie, bei uns ist Alles so gemütlich!“ A jednak przecież warunki odżywiania w Tyrolu gorsze niż w Wiedniu; chleba wcale dostać nie można i sklepy z żywnością nie tak zaopatrzone jak w stolicy. Widać, że ten kraj naprawdę ucierpiał z powodu wojny.

W komendzie włoskiej spotkaliśmy się przypadkowo z p. Joachimem Bartoszewiczem, prezesem komitetu polskiego w Kijowie. Cekał on wraz z rodziną w Insbruku na pozwolenie przejazdu do Francji; był już raz w Feldkirch, za legalnym paszportem, wystawionym jednak na cztery osoby wspólnie. Władze austriackie powiedziały mu, że musi przedłożyć cztery paszporty, mimo to, że chodzi o jego najbliższą rodzinę. „Zresztą“, mówił oficer austriacki, „obecnie Austria prowadzi wojnę z Polską!“ — zaś na uwagę, że nie Austria, lecz Niemcy mają spory z naszym narodem, dodał: „To wszystko jedno“ i kazał mu wracać do Insbruka. Dopiero prawie w miesiąc później udało się p. B. przejechać do Paryża, lecz przez Włochy, nie przez Szwajcaryę.

Próbowaliśmy w Insbruku wyrobić sobie pozwolenie na przejazd do Francji przez Włochy. Za poradą komendanta napisaliśmy podanie do „Regio Governato Italiano in Trento“, tak się bowiem nazywa obecna włoska władza w Tyrolu. Mimo tej akcji postanowiliśmy jednak przejechać do Feldkirch i tam najpierw próbować przejazdu przez Szwajcaryę. Czekając na pociąg, rozczytujemy się w gazetach tyrolskich, w których prócz trosk aprowizacyjnych i zwykłych utyskiwań na los, znalazły się także i wiadomości o przyjeździe Paderewskiego do Poznania, o walkach z Niemcami, o tych naszych serdecznych troskach.

Rano 31. XII. 1918 wyruszyliśmy do Feldkirch. Pociąg, dość pełny, sunął przez śliczną tyrolską okolicę z zwykłą „pokojową“ chyżością. Na stacyach, obok zwykłej publiczności przesuwały się włoskie patrole, widocznie już tutaj zupełnie zadomowione. W Landeck, granicznej stacyi Przedarulanii, zjawia się cywilny urzędnik policyjny z białą przepaską na ramieniu, bada nasze papiery i oświadcza nam, że musimy wysiąść na najbliższej stacyi, gdyż nie mamy na paszportach zaznaczonego ani pozwolenia na wjazd do Szwajcaryi, ani też pozwolenia na pobyt w Przedarulanii (Vorarlberg). Z trudem zdołaliśmy mu wytłumaczyć, że spodziewamy się pozwolenia na wyjazd w Feldkirch; musieliśmy z cierpliwością wysłuchać wyводу, że Przedarulanja to nie Tyrol, że to może będzie osobne państwo, że obcy tylko za zezwoleniem właściwego rządu mogą mieć tam pretensyę do dłuższego pobytu itp. — wreszcie jednak pozwolono nam spokojnie dojechać do Feld-

kirch, lecz z tem zastrzeżeniem, że w razie, gdyby papiery nasze nie przyszły w ciągu 48 godzin, to musimy wracać do Insbruka. Ten gorący występ energicznego policyanta z Feldkirch tem się tłómaczy, że wówczas właśnie Przedarulanja starała się o to, by odłączyć się od niemieckich krajów Austrii, a złączyć się z Szwajcaryą. We wszystkich miasteczkach tego górskiego kraiku odbywały się wiece, uchwalające konieczność związku z Szwajcaryą, a nawet rząd przedarulański oficjalnie zwracał się z taką propozycją do Rady Związkowej w Bernie. Odmówiono jednak tym prośbom; Szwajcaryja nie chciała psuć u siebie równowagi żywiołów francuskich, włoskich i niemieckich przez przyłączenie dość dużego obszaru o wyłącznie niemieckiej ludności.

W Feldkirch siedzieliśmy pełne cztery dni, czekając na papiery. Wprawdzie energiczny policyant z Landeck doścignął nas i tutaj, lecz na szczęście otrzymałem już wówczas telegram od p. Modzelewskiego, przedstawiciela Komitetu Narodowego w Bernie, zawiadamiający mnie, że papiery dla nas już gotowe i wysłane; to nam pozwoliło wyczekać w spokoju w tej ładnej i bardzo kulturalnej górskiej mieścinie.

Mieszkaliśmy w „Hotel zum Bären“, w którym wieczorami zbierało się miejscowe towarzystwo, same charakterystyczne postacie, na których niebardzo było znać wojnę. Bo też w Przedarulanii jest znacznie mniej trudności aprowizacyjnych niż w Tyrolu; w Feldkirch zaś wielkiem ułatwieniem jest bliskość granicy szwajcarskiej, przez którą sączy się nieco żywności. Prze-

sunęła się też koło nas cała galeryja smutnych i dziwnych typów, pozostałych tutaj po likwidacyi Austrii. W tem granicznym miasteczku pełniła z zapalem rolę wyznaczoną przez rząd wiedeński, policya i cenzura graniczna; było ono tym filtrem, przez który musiały przejść wszelkie wieści z poza kordonu mocarstw centralnych; tutaj musieli też odbywać kwarantannę polityczną, trwającą czasem aż trzy tygodnie, wszyscy wracający do Polski z Szwajcaryi lub Francyi. Dobrze wiedziałem jak w czasie wojny ostro cenzurowano tutaj polskie listy, jak szczegółowo badano powracających; zbyt często dochodziły mię listy z przekreślonymi lub wyciętymi kawałkami, zbyt często zawodziły wszelkie usiłowania porozumienia się nawet w sprawach naukowych i zupełnie politycznie niewinnych! — Z tych granicznych urzędników policyjnych, cywilnych i wojskowych, pozostali po rozpadnięciu się Austrii tylko miejscowi na stanowiskach; policyantów austriackich i urzędników cenzury, kontrolujących specjalnie polskie sprawy, rozpuszczono. Zgłosił się do nas jeden taki pan o nazwisku brzmiącym jakby ruskie, nauczyciel z pod Buczacza, ale, jak sam zapewniał, Polak, który poprostu prosił o wsparcie; byli też i oficerowie, przeważnie Rusini, ale podający się na Polaków, którzy o swych kłopotach jawnie mówili.

Przez hotel przesuwały się gromadki przygodnych gości, jadących do Szwajcaryi. Mnóstwo żydów było między nimi, jedni za interesami, inni, jak mówili, w sprawach rodzinnych; był jeden taki, który utrzymywał, że jedzie w związku z misją wysłaną przez

naczelnika państwa polskiego, ale jakoś nie wyjeżdżał z Feldkirch, mimo, jak mówił, wszelkich dokumentów. Agent konsularny szwajcarski zwracał nam też uwagę, że to przecież dziwne, iż tylu „Panów z Polski“ jedzie do Szwajcaryi; ci „Panowie z Polski“, to bez wyjątku byli żydzi. Nam też dziwnem się to zdawało, że tak wielu niepolityków otrzymało od rządu warszawskiego, a raczej od p. Wasilewskiego paszporty, podczas gdy wydanie pozwoleń wielu ludziom, napewno bardzo przydatnym dla prac kongresowych, napotykało na ogromne trudności.

Przyjechała też misja ekonomistów pod przewodnictwem pana Wierzbickiego z Warszawy: kilkunastu tęgich fachowców z wszystkich dzielnic, ożywionych gorącą chęcią pracy dla kraju, wiozących mnóstwo dokumentów dla biura kongresowego, nie tracących ani chwili czasu i nawet w czasie podróży ciągle odbywających narady i posiedzenia lub wypracowujących referaty dla Komitetu paryskiego. Miałem wrażenie, że to ludzie najbardziej realnej wartości i realnej pracy, jakich Polska na zachód wysłała.

Nareszcie w piątym dniu po przyjeździe do Feldkirch otrzymaliśmy telegraficzne pozwolenie przejazdu przez Szwajcaryę; przyszło na parę chwil przed odejściem pociągu, lecz zdołaliśmy jeszcze jakoś spakować manatki i przenieść je na kolej, gdzie nam władze austriackie, bardzo zresztą nieuprzejme i niezyczliwe, jeszcze na odjezdnem dały surową admonicyę za to, że na paszportach nie mieliśmy wizy państwa nowej niemieckiej

Austrii, a to przecież jest państwo i nie można sobie przez nie przejeżdżać jak się komu podoba.

Wreszcie pociąg ruszył, za chwilę minął granicę i w niedługim czasie stanęliśmy w Buchs, już na wolnej ziemi szwajcarskiej. Rewizya pakunków i sprawy paszportowe załatwiono bardzo skrupulatnie, ale spokojnie, bez trudności; z całą uprzejmością i za małym wynagrodzeniem przepakowano dokumenty i mapy profesora Romera do nowej paki, odrazu na dworcu dano każdemu z nas pewną ilość kart chlebowych, tłuszczowych i cukrowych, słowem, czuło się jakiegoś innego ducha; powiew wolności nas otoczył po tej dusznej atmosferze zamkniętej klatki, w jaką nas centralne mocarstwa wpędziły. Z humorem znosiło się niewygody hotelu, bardzo marnego a drogiego, skoro się już czuło otwartą drogę na Zachód, od którego byliśmy tak dawno odcięci!

Rozstawszy się w Zürich z towarzyszami, pojechałem na jeden dzień do Bazylei, aby się zobaczyć z braterstwem, zamieszkałymi w Arlesheim, koło Dornach. Po drodze studyuję dzienniki szwajcarskie, z których przebija pewna troska o dalsze losy i niepewność, czy wyjdzie krajowi na dobre ta ścisła neutralność, jaką starał się zachowywać w czasie wojny. Rzecz dość naturalna, że Szwajcarya w czasie wojny podzieliła się na dwa obozy, germanofilski miał centrum w Bazylei, frankofilski w Genewie; w Bazylei zgromadziła się prasa żydowsko-niemiecka, ziejąca nienawiścią do Polski,

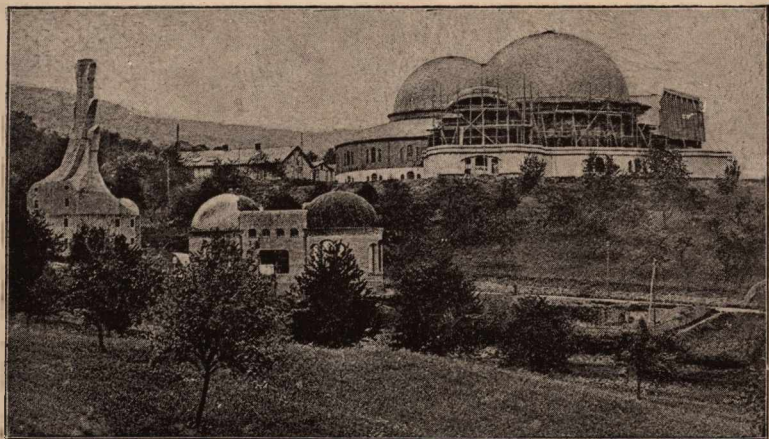
w Lozannie panowało usposobienie raczej przyjaźne dla nas. Z chwilą, kiedy szala zwycięstwa przechyliła się stanowczo na stronę koalicji, kiedy nawet zaczęto mówić, że jeden z dworców w Bazylei, leżący już na terenie niemieckim, ma być zajęty przez Francuzów, zaczęła się budzić myśl o zwrocie w polityce. W Bazylei obudziły się sympatye do Francyi, a tylko nienawiść i złość jaką ziała prasa żydowska do wszystkiego co polskie — pozostała niezmieniona. Tutaj fabrykowano artykuły o pogromach lub o anarchii w Polsce, stąd je przemycano lub przesyłano do prasy niemieckiej, francuskiej lub angielskiej, często używając pośrednictwa niektórych pism holenderskich.

* * *

Opowiadali mi marynarze na Oceanie Indyjskim, że kiedy rozigra się szalony cyklon, kiedy straszny wir powietrzny wzburzy fale do dna, rozbija w drzazgi najpotężniejsze parowce, zmiata nadbrzeżne osady i świat cały grozą napelnia — wówczas w samym środku tego śmiertelnego leja, jakby na przekór jego mocy i potędze jest miejsce pogodne, nad którem błyszczy jasne, bezchmurne niebo, a słońce się iskrzy. To miejsce nazywają okiem cyklonu. — Nie mogę powiedzieć, by cała Szwajcarya była tem pogodnem centrum pośród rozhukanych fal wojny światowej, przeciwnie, w niej odbywało się wiele spraw zakulisowych, intryg, prób pojednania i wiele tych faktów, których historycy nie notują, lecz z których historia się składa; ale takim „okiem cyklonu“, żyjącem zupełnie w innym świecie,

zda się poza istotną rzeczywistością, to pewna grupa ludzi, gromadząca się w Arlesheim koło Bazylei.

Uroczą położoną małą miejscowość wśród gór słońcem ogrzanych, złożona prawie wyłącznie z zbytkownych domków i willi, połączona tramwajem z bogatą Bazyleą, jest obecnie siedliskiem kolonii wyznawców zasad „Antropozofii“, kierowanej przez doktora Steinera. Zupełnie jakby na innym globie żyjąc, gromadka antropozofów taksamo jak przed wojną zgłębia tajniki natury ludzkiej, rozmyśla nad jej istotą, zagłębia się w badania ciała astralnego i duchowych właściwości człowieka, żyje wizjami i.... buduje teatr, mający być równocześnie symbolem antropozofii i świątynią nowej sztuki. Teatr ten, położony na pagórku, zdala widny, został nazwany Götheanum, na cześć Göthego; ma on być symbolem człowieka. Podczas krótkiego pobytu w Arlesheim nie mogłem zebrać szczegółowych danych o zasadach jego konstrukcyi, uderzyło mię tylko to, że zbudowano go z niesłychanym nakładem kosztów. Na podstawie betonowo-kamiennej wznosi się budynek drewniany o zaokrąglonym narysie, zbudowany z małych klocków, spajanych tak ściśle z sobą, że tworzą jednolitą i grubą drewnianą ścianę; może w tem symbol budowy ciała z komórek się mieści! W tej ścianie rzeźbi się dopiero obramowania okien i inne ozdoby, z nią wprost złączone są daszki nad drzwiami, o zarysach ogromnie przypominających chińską architekturę. Dach z dwoma ogromnemi kopułami osłania scenę i widownię. Światło padać będzie do środka przez duże okna, wypełnione



„GÖTHEANUM“ TEATR POMYSŁU ANTROPOFOZA DRA STEINERA W ARLESHEIM
KOŁO BAZYLEI. NA LEWO KOTŁOWNIA.

witrażami, bardzo oryginalnie pomyślanymi i jeszcze dziwniejszą techniką wykonanymi. Każde okno jest zamknięte jednobarwną, grubą na cal płytą szklaną, w całości zabarwioną na jeden kolor; świdrami i pilnikami z karborundum (rodzaju sztucznego dyamentu), poruszanymi zapomocą małego ale bardzo silnego motoru elektrycznego, ryje się na tych płytach rysunek w ten sposób, że wyskrobuje się światła, a cienie pozostawia grubsze. Przechodzące przez płytę światło nadaje potężnego błysku cieńszym miejscom, a głębi tonu grubszym warstwom szkła; efekt świetlany i rysunkowy jest w istocie wielki, ogrom pracy włożonej w wykonanie takiego witraża opłaca się więc sowicie. Podczas takiej roboty cała płyta szklana jest stale zlewana prądem wody, która usuwa pył szklany i ułatwia rycie rysunku. Nie wszystkie witraże są już gotowe; te, które widziałem są w pomyśle bardzo oryginalne i efektowne, ale przyznam się, że wcale nie rozumiem tego co mają przedstawiać.

W „Götheanum“ mają się odbywać przedstawienia sztuk napisanych lub inscenizowanych przez Dra Steinera. Cała kolonia jego uczniów i uczenic studjuje obecnie drugą część Fausta, którą ma się przedstawiać jako rodzaj pantomimy z zastosowaniem rytmicznych tańców i różnych innych efektów. No, pomysł conajmniej śmiały!

Niewiem dokładnie na czym polega Antropozofia; o ile zdołałem wywnioskować z rozmów i objaśnień, zdaje mi się, że to pewna odmiana teozofii. Dziwna mieszanina pojęć zaczerpniętych z wierzeń indyjskich,

zarówno z budaizmu jak i wierzeń braminów, ale też i z nowszych teorii przyrodniczych, zwłaszcza z darwinizmu, studyowanego w szacie, w jakiej go podawała niemiecka nauka. Studyuje się istotę człowieka, ale „w całości“, to znaczy nietylko te jego strony, które można objąć zmysłami, u zwykłych ludzi działającymi, lecz i te, które są dostępne zmysłom „wyższego stopnia, mogącym spostrzegać zjawiska odbywające się „w innym planie“, dostępnym jednak tylko dla wtajemniczonych, czy też należycie oświeconych. — Kierownik tej gromadki w Arlesheim, Dr. Steiner, Niemiec z pochodzenia i z kultury duchowej, to człowiek bezsprzecznie o wielkiej energii i bystrości. Podobno jest bardzo dobrym dyalektykiem i mówcą; miałem sposobność przez chwilę z nim rozmawiać o dzisiejszych stosunkach; wyrażał się ze strachem i obawą o to, iż jest możliwość, że na świecie zapanuje bezład, że idea wolności i porządku zniknie, czy też zostanie zastąpioną przez coś innego. Jak mię potem objaśniono, obawia on się panowania żydów i żydowskich idei, które nie znają pojęć miłości bliźniego, dobra ludzkości i ojczyzny. — Ja w tym człowieku podziwiałem tylko energię jaką rozwinął, by zbudować swoje Göttheanum; w czasie wojny pokonał mnóstwo trudności, a co najważniejsze, zebrał kilka milionów marek na to potrzebnych.

Jego nauka według mego przekonania ma cechy nawskróś niemieckie; pojęcia przyrodnicze brane jako fakty, życie kierowane według teorii, nakazy odnoszące się do codziennego życia (wegetaryanizm itp.), wysnute

z teorii, w które się wierzy, to właściwości, jakie od razu zdradzają Niemca, ale Niemca może ostatniego z tej dawniejszej rasy, dziś wymarłej, o której się niegdyś mówiło, że to: Ein Volk der Denker. Do jakiego zaś stopnia rozważania teoretyczne mają u tej gromadki wpływ na praktyczne życie, tego dowodem budowa gmachów pomocniczych przy teatrze. Trzeba było zbudować kotłownię do maszyn; w kotłowni jest siedziba ognia, ogień to zły duch, niszczyciel; trzeba więc gmachowi nadać straszną postać! No, i zbudowano dziwoląg z betonu, z kominem, na którym niezgrabne brodawkowate przysadki mają wyobrażać płomienie. Brzydkie to i śmieszne okropnie; kiedy się pytałem, dlaczego tak okropnie zeszpecono ładną okolicę, odpowiedziano mi, że zły duch jest też brzydki i szpeci życie.

Wyjeżdżałem z Arlesheim pod dziwnem wrażeniem; nie sądziłem, że o kilkadziesiąt kilometrów od alzackiego frontu może istnieć gromadka ludzi, dla których wojna jest czemś bardzo dalekiem, którzy sobie spokojnie pracują nad pantomimą z drugiej części Fausta.... Doprawdy, to oko cyklonu!

W Bernie szwajcarskiem stykają się dwa światy polityków polskich, jest tam przedstawicielstwo rządu warszawskiego i przedstawiciel Komitetu Narodowego Paryskiego. Rząd warszawski reprezentuje p. Zaleski, dawniej osiadły w Londynie, zaś Komitet paryski p. Modzelewski. Pozwolenia na jazdę

do Francyi może Polakom wyrabiać tylko p. Modzelewski, zaś pozwolenia na jazdę do Polski daje p. Zaleski; był to efekt nieszczęsnej i zupełnie nienormalnej polityki tych ludzi, którzy chwyciwszy władzę w kraju w dyletanckie ręce, nie czują, że już przyszedł czas, aby się do nowych stosunków dostroić, aby ci, którzy okazali tendencje do opierania się o mocarstwa centralne, ustąpili wreszcie i zachowali siły i chęć do pracy na inne czasy, kiedy zapatrywania na politykę zewnętrzną nie będą tak decydowały o wartości osób jak obecnie.

Jako bezpartyjny, nie polityk, a jadący w celach pomocy dla ludności i w celach kulturalnych, mogłem swobodnie zetknąć się z oboma przedstawicielstwami Polski, a przy sposobności wypowiedzieć też otwarcie zdanie o tej dwoistości polityki. Przedstawicielstwo Komitetu paryskiego mieści się w prywatnem mieszkaniu jego kierownika; mały domek, z wykwintną a nie przesadną elegancją urządzony, biuro bardzo niewielkie, ale sprawnie funkcjonujące; w całym domu panuje już w zupełności wpływ ducha Francyi, tak miły i tak bardzo podobny do polskiego. Zwracałem uwagę przedstawiciela Komitetu na przykry konflikt z rządem warszawskim i konieczność ujednostajnienia linii wytycznych oraz metod polityki zewnętrznej; otrzymałem słuszną i spokojną odpowiedź, że teraz koalicja nie chce wogóle wdawać się w pertraktacje z rządem warszawskim i jego przedstawicielami, ten zaś rząd chce przeforsować swe stanowisko, nie wiedząc czy nie chcąc wiedzieć o tem, że to niemożliwe i nie czując tego, iż ludzie, którzy swój program wiązali z losami mocarstw

centralnych, są obecnie skompromitowani. Widziałem, że ze strony przedstawicielstwa Komitetu paryskiego jest wszelka chęć do zgody, ale nie mogła ona iść tak daleko, by rzec się stanowiska na korzyść ludzi, których i tak Koalicja nie byłaby uznała za czasów rządów p. Moraczewskiego.

Tak zwana *Mission polonaise*, kierowana przez pana Zaleskiego, mieści się w starym, bardzo charakterystycznym domu w środku miasta Berna. Zaraz na wstępie do biura uderza przybysza typowa atmosfera biur N. K. N., zwłaszcza prowincjonalnych. W pokojach biurowych kręciło się sporo panien, urzędniczek, ściany ubrane obrazkami przedstawiającymi legionistów. O ile wiem, to właśnie w tej misji polskiej zgrupowało się grono osób pozostających w związku z N. K. N.; w Bernie odbył się więc podobny proces jak w Wiedniu. Z jedną z osób kierujących misją miałem dłuższą rozmowę o sprawach polskich; muszę niestety powiedzieć otwarcie, że wyniosłem z tej rozmowy wrażenie nie bardzo korzystne. Przekonałem się, że nie tylko nie było chęci współpracy z Komitetem paryskim, ale wprost niechęć i nieprzyjazne usposobienie do tej instytucji. Strasznie smutne wrażenie zrobiła na mnie ta niezgoda nasza za granicą, będąca tylko odbiciem nieszczęsnych stosunków, jakie w kraju panowały za rządów pp. Moraczewskiego i Wasilewskiego; dobrze, że teraz już inaczej te sprawy się ułożyły i doszło do stworzenia jednolitego przedstawicielstwa.

W Bernie ruch wielki; w hotelu „Bernerhof“ już znać atmosferę konferencji pokojowej, sami dyplomaci

lub uczeni, jadący na kongres jako eksperci; nie brak też i ludzi, którzy wyzyskują pierwszą sposobność dostania się na Zachód, by nawiązać nici interesów handlowych lub przemysłowych. Szwajcarya zaś doskonale nadaje się na teren do tego rodzaju operacyi; banki sprawnie funkcjonujące, giełdy notujące walory wszystkich państw walczących, przepyszna i niezmiernie tanio działająca sieć telegrafu, poczty i kolei — to pierwsze podstawy operacyi finansowych. Z zazdrością patrzyłem się na nie, wspominając nasze stosunki!

Korzystając z tego, że musiałem poczekać na wizę francuskiej ambasady, poszedłem do kilku firm księgarskich, aby się zapoznać z nowościami, publikowanymi w czasie wojny w państwach zachodnich. Spotkał mię jednak zawód, bo w szwajcarskich księgarniach znalazłem przeważnie dzieła naukowe niemieckie; z prac i podręczników zoologicznych, o które mi najwięcej chodziło, nie znalazłem prawie niczego godnego uwagi, co więcej, przekonałem się, że podręczniki szkolne do nauki zoologii są brane zazwyczaj z Niemiec, a czasem z Francyi. Tylko kilka dobrych książek, odnoszących się do fauny Alp znalazło się na pułkach, zresztą nie było nic ciekawego. Nasuwało mi to na myśl pytanie: czy Szwajcarzy są narodem, czy tylko zlepkiem o wspólnej państwowości? Nie zdołałem sobie na to zupełnie stanowczo odpowiedzieć, lecz to tylko stwierdziłem, że teraz, w czasie zawieruchy światowej dbają oni o własne państwo więcej niż o przynależność do grup narodowych. Jedną z ich trosk państwowych, to obawa przed bolszewizmem. Zdawałoby się mogło, że w tak

wolnym i liberalnie rządzonym kraju troska 'to zbyt zbyteczna; a jednak mieli oni ogólne strajki i zaburzenia na tle agitacji bolszewickiej. Źródło tej agitacji teraz się ujawniło, kiedy w „Izwiestia“ pojawił się artykuł odsłaniający rąbek tajników agitacji rosyjskiej. Okazało się, że Rosyanie, którzy uzyskali pozwolenia na pobyt w Szwajcaryi, pod warunkiem, że nie będą uprawiali agitacji, po cichu prowadzili propagandę, krążąc po kraju zazwyczaj jako delegaci rosyjskiego Czerwonego Krzyża albo Komitetu opieki nad jeńcami. Teraz też już ogólnie wiadomo, że pod te dwie firmy bardzo często podszywają się bolszewicki agitatorzy, także i u nas, nietylko w Szwajcaryi.

Po uzyskaniu paszportów do Francji przebyłem drogę do Genewy wspólnie z misją ekonomiczną polską, z którą spotkałem się w Bernie. Pod wieczór przesunął się nasz pociąg nad cudownem jeziorem, wynurzającem się jakby półmglista zjawia czarowna, tchnąca już powiewem południa mimo dalekich lodowców, majaczących dziwnymi błyskami w sennej poświacie zachodu. Na dworcu czekało na nas grono Polaków tutaj osiadłych; z jednym z nich poszedłem na chwilę do bardzo mile urządzonego klubu polskiego, jednoczącego obecnie wszystkie stowarzyszenia, lecz na razie mającego załedwie około ośmdziesięciu członków.

Pociąg należący do kompanii P. L. M. (Paris—Lyon—Méditerranée) czekał na stacyi. Uprzejmy zarząd

dał nam osobny wagon. Cło graniczne i sprawę paszportów przebyliśmy bez trudu i kłopotów, a przepyszny express, idący z zwykłą, przedwojenną sprawnością, porwał nas w drogę ku sercu Francyi, ku temu Paryżowi, który teraz stał się osią myśli, nadziei i obaw świata całego.

PARYŻ.

Z falą tłumu, wprowadzie różnojęzycznego, lecz pchającego się i tłoczącego ku wyjściu jak zwykle, wysunąłem się z dworca lyońskiego i pierwszą osobą, na której mój wzrok się zatrzymał był żołnierz w siwoniębieskim mundurze, z rogatą czapką, zasuniętą z fantazyą na bok — Hallerczyk. Zgrabny chłopak, z czarnym wąsikiem, mocny ale smukły. „Skąd pan pochodzi?” spytałem. „Z Kanady; jestem tu przy Komitecie” — brzmiała odpowiedź, z mazurskim akcentem wypowiedziana.

Pierwszą więc rzeczą, którą, jakby na powitanie tutaj dostrzegłem, był ten nasz realny atut polityczny, nasza Armia polska; i jeśli jechałem do Paryża z ciekawością zaostrzoną, to widok tego żołnierza zmienił ją w serdeczne uczucie.

Zajechałem do hotelu dawno mi znanego, położonego przy Boulevard St. Michel, w którym przed wojną można było mieć doskonały pokój za 2 lub 3 franki. Kazano mi za ten sam pokój teraz płacić 12 franków dziennie, co przeliczone na korony, czyniło olbrzymią sumę około 40 koron. Z wszystkich rzeczy

w Paryżu najbardziej podróżały teraz hotele, z powodu napływu obcych na kongres; ceny przedmiotów codziennego użytku nie podniosły się w tym stopniu, lecz podskoczyły conajwyżej dwukrotnie albo i mniej. Jest to skutek bardzo rozumnej i oględnej polityki rządu, który nie czynił eksperymentów z socyjalną gospodarką, lecz raczej wolał po cichu dopłacać, byle mieć spokój i zadowolenie ludności. Tak n. p. do chleba dopłaca rząd francuski rocznie około 1,400,000.000 franków, byle tylko utrzymać jakość przedwojenną i jego ceny nie podwyższać. Środki żywności trochę zdrożały, tak że za obiad, który dawniej kosztował około 5 franków, dziś zapłacić się musi około ośmiu lub dziesięciu. Dopiero w ostatnich czasach, kiedy wprowadzono oficjalny cennik na różne produkty, towary te zaczęły znikać, a równocześnie pojawiły się w rękach handlarzy pokątnych, naturalnie po znacznie wyższych cenach; widocznie i tutaj może się rozwinąć paskarstwo pomimo tego, że rząd nałożył niesłychanie surowe kary na przekraczających ceny maksymalne.

Te niedomagania drożyźniane zaczęły się dopiero teraz, już po zawarciu zwycięskiego zawieszenia broni; w czasach, kiedy życie w Paryżu było bardzo przykre z powodu częstych bombardowań bądźto z aeroplanów niemieckich, bądź też z dalekonośnych dział, rząd starał się więcej o to, by się ludności stolicy nie dały we znaki troski aprowizacyjne. I dzisiaj też drożyżna jest bez porównania mniejsza niż u nas, gdyż, jak już wspomniałem, przeciętnie ceny towarów podniosły się mniej niż dwukrotnie. Dla Francuzów jednak takie

podniesienie cen jest już wielką klęską, gdyż wiadomo, iż każdy z nich uważał za obowiązek, by połowę dochodu odłożyć na „rentę“, dzisiaj zaś czasem i do zapasów sięgnąć wypada. Toteż utyskiwania na drożyznę mnożą się; dzienniki mają stałą rubrykę zatytułowaną „La vie chère“. Trzeba zaś przyznać, że rząd stara się wszelkimi sposobami, by poprawić stosunki; robotnikom i urzędnikom podwyższa pensye, stara się o dowóz brakujących środków żywności, wprowadził dość surowy system kart chlebowych, cukrowych itp. i bardzo ściśle przestrzega trzymania się przepisów zapobiegających drożyznie. Naogół jednak jeszcze w Paryżu wcale nie znać braków i nędzy wojennej w zakresie środków do codziennego życia potrzebnych; natomiast wielkie widać ograniczenie i surowe znać przepisy, odnoszące się do przedmiotów zbytkownych. W cukierniach wolno zużywać mąkę i cukier tylko w bardzo ograniczonej mierze; bardzo wielu gatunków ciast i tortów nie wolno wypiekać, a i te, których wyrób jest dozwolony, można fabrykować tylko w ograniczonej ilości. Niema wcale tego wyboru i tej różnorodności ciast, jaka cechowała cukiernie paryskie przed wojną; niema mowy o potajemnem podawaniu kawy z mlekiem lub czekolady przyrządzonej w niedozwolony sposób; nigdzie nie znać natłoku w cukierniach, dawniej tak uczęszczanych. — Na wszystkie przedmioty zbytkowne nałożono podatek równający się 10 0/0 ceny sprzedaży; za przedmioty zbytku uznano wszystkie towary poza najprostszymi i niezbędnymi do życia potrebnymi; ponieważ zaś często trudno określić co już jest zbyt-

kowe, więc też w dziennikach pojawiają się protesty kupców i kupujących, co prawda mające platoniczne znaczenie, bo nałożonego podatku rząd nie cofa.

Na ulicach Paryża nie widzi się wiele zbytku; jest, tak jak zawsze była, wielka elegancja i dużo artystyzmu w strojach kobiet, ale przepychu nie znać. Tylko dzieci, śliczne jak aniołki, ubiera się w wytworne stroje, zgrabne płaszczyki i futerka, ale to już był stały zwyczaj Francji, że dla dzieci nietylko że nie żałowano niczego, lecz nawet otaczano je nadmiernym zbytkiem, bo ich przecież tak mało przybywało!

W ogóle zmienił się bardzo wygląd ruchliwych ulic Paryża. Wielkie bulwary, Place de la Concorde, ulica Rivoli i inne części miasta, w których krzyżuje się ruch handlowy i skupia ruch obcych, są tak ożywione jak za czasów pokojowych, zwłaszcza ruch samochodowy, nie ograniczony brakiem gum, przypomina czasy przedwojenne. Wieczorem jednak oświetlenie jest bardzo słabe; znikły prawie zupełnie reklamy świetlne, wystawy sklepowe nie leją strumieni światła jak dawniej, a latarnie nie wszystkie się świecą. O godzinie 9-tej i pół zamyka się wszystkie restauracje, kawiarnie i wogóle publiczne lokale; ulice cichną, a koło 10-tej widać już tylko ludzi powracających z przyjęć prywatnych lub idących do nocnych zajęć. Nawet gwarny Boulevard St. Michel cichnie o wpół do dziesiątej zupełnie! A ten stan dzisiejszy jest dla Paryżan rajem wobec tego co było przed zawieszeniem broni; wówczas, jak mi opowiadano, tylko tu i ówdzie świeciły się na ulicach latarnie, przykryte z góry sze-

rokiem talerzem blaszanym, a pomalowane lakierem ciemno-niebieskim; ślad jasności z nich bijący służył z biedą do oryentowania się nielicznym przechodniom, ale nie zwracał uwagi lotników.

Tłum przesuwający się przez ludne ulice zmienił bardzo postać w porównaniu z tem, co było przed wojną. Pierwsza rzecz, która bije w oczy, to mnóstwo wojska, ale obcego; francuskim żołnierzom wolno tylko w wyjątkowych razach jechać na urlop do Paryża, są też skrępowani surowymi przepisami co do zachowania się na ulicach, w lokalach itp. Francya bardzo dba o to, by się jej żołnierz nie rozpuścił i w czasie służby wojskowej nie nabył niepotrzebnych nawyczek, więc go też broni przed sposobnością i pokusą. — Natomiast obcych wojsk widzi się bez liku. Przeważają Amerykanie i Anglicy, ubrani w bardzo podobne mundury, przeważnie chłopaki smukłe, zgrabne, bez śladu niemieckiej sztywności, raczej na sportowców wyglądające. Zwiedzają Paryż i bawią się; czasem widzi się ogromne omnibusy automobilowe, wiozące gromadę tych żołnierzy z przewodnikiem na objazd po mieście; zapęlniają też kawiarnie i bary, w których grupują koło siebie weselszej natury Paryżanki. Obok tych Anglo-Sasów przesuwają się wszelkiego rodzaju i rasy wojskowi z wszystkich części świata: cicho i skromnie, z wiecznym uśmiechem na twarzy suną Japończycy, czasem przewiną się znacznie tężej zbudowani Chińczycy lub drobni, pootulani Anamici; dumnie kroczą Portugalczycy, ubrani bardzo podobnie do pruskiego wojska; z rzadka zabłąka się jakiś Serb lub nawet

rosyjski żołnierz, a wreszcie i paru szaro-niebieskich zuchów w rogatywkach wciśniętych na ucho, z naszej armii; natomiast dość często widzi się Czecho-Słowaków w mundurach alpejskich strzelców francuskich. Ci Czecho-Słowacy należą do dwudziestegopierwszego i dwudziestegodrugiego batalionu i noszą też odpowiednie liczby na czapkach; ale myliłby się, ktoby myślał, że oni mają aż dwadzieściadwa batalionów wojska we Francyi — nie, sprawa zupełnie inaczej wygląda. Czesi, przyłączywszy się do armii francuskiej, przyjęli mundur i weszli w skład formacyi strzelców alpejskich francuskich; ponieważ tam jest w pewnej formacyi 20 batalionów, więc im dano liczbę 21 i 22. Ale w gazetach pisze się z wielką dumą: „22-gi batalion Czecho-Słowaków“ itp. — charakterystyczny przykład blagi czeskiej!

Co prawda, to nietylko Czesi uprawiają w Paryżu humbug wojskowy na wielką skalę; czynią to i inni, nawet ci, którzy tego nie potrzebują, zwłaszcza Amerykanie. W pogodne dni można między godziną pierwszą a trzecią popołudniu oglądać plutony wojska amerykańskiego, ćwiczące się na Avenue du Bois de Boulogne, wprost na chodnikach i gościńcu, często z muzyką. Ponieważ jest to pora, kiedy po śniadaniu idzie się na przechadzkę, więc zawsze tłum zbiera się koło wojska i muzyki. A trzeba przyznać, że kompania czy plutony ćwiczące się wykonywują zwroty z sprawnością doskonałej maszyny, przytem zaś zupełnie niema w nich pruskiej twardości i sztywności; krok w marszu mają

drobny ale szybki, bez wyrzucania nóg, jak Niemcy; nadaje to lekkości i zgrabności ich obrotom.

Wojsko więc nadało najważniejszą cechę tłumom paryskim; obok tego ruchliwego elementu rzuca się w oczy inny, cichy i spokojny, a jest to — mnóstwo kobiet w żałobie. Francya poniosła w czasie tej wojny niesłychanie wielkie ofiary; mogę śmiało powiedzieć, że wielką rzadkością są rodziny, w których nie opłakują straty najbliższych, natomiast zupełnie zwykłym zjawiskiem są domy, w których zabito ojca i wszystkich dorosłych synów. Jadąc koleją ku północnej Francyi, można teraz bardzo często spotkać starsze małżeństwa, jadące szukać grobów lub przewieźć zwłoki synów. Jest to wszystko miarą ofiarności narodu i jego dzielności; istotnie bowiem bili się Francuzi w tej wojnie niesłychanie dzielnie, można też z zupełną słuszością twierdzić, że oni właściwie ją wygrali i oni głównie sprowadzili pogrom Niemców. Anglia dźwigała na barkach główny ciężar wojny morskiej, na lądzie mniej zdziałała; Ameryka przyniosła głównie olbrzymią pomoc techniczną, jak parki kolejowe, uzbrojenie, żywność, amunicję itp., a prócz tego poparcie moralne przez dostawienie do Francyi około 2 milionów żołnierzy; natomiast na froncie, gdzie zaledwie około 200.000 Amerykanów się znajdowało, jej znaczenie militarne było mniejsze. Inne państwa koalicyi mniejszą lub, jak Włochy, na innych frontach rolę odegrały, zaś rozstrzygnięcie militarne na głównym froncie zdobyła Francya, a to przez jednolitość dowództwa marszałka Focha i przez małe, ruchliwe tanki (czołgi). Ten za-

bójczy środek techniczny, któremu niemiecka technika sprostać nie mogła, jest pomysłem francuskim, a raczej bystrem udoskonaleniem pomysłu powstałego i pierwszy raz zastosowanego w Anglii, zaś wykonała go znana fabryka samochodów Rénaud, znacznie rozszerzona w czasie wojny. Rzecz naturalna, że podstawą do zwycięstwa było męstwo Francuzów; jego skutkiem jest jednak ta niezmiernie wielka ilość żałobnych strojów, jakie się przesuwają przez ulice Paryża.

Mimo żałoby znać, że Paryż jest upojony zwycięstwem, znać, że cieszy się i raduje, że oddycha po trudach walki, ale ta radość z pokonania wroga nie ujawnia się w szale zabaw i wybrykach rozpusty, przeciwnie, Paryż spowaźniał i nabrał zupełnie innego typu niż dawniej. Zniknęły zupełnie z ulic rozigrane tłumy kobiet lekkiego życia, tak charakterystyczne na bulwarach, zwłaszcza w Quartier latin. Nie znaczy to wcale, że tego elementu niema obecnie w Paryżu; on jest, lecz gdzieś skryty i nie nadaje miastu cechy. Przed wojną obcy, wjeżdżający do stolicy Francyi, widział jako pierwszą jej cechę — wesołą ulicnicę w wszelkich jej typach; tak ten element bił w oczy, tyle widziało się go po licznych kawiarniach i lokalach publicznych zabaw, że wielu przybyszom zdawało się, iż on jest istotną cechą Francyi; trzeba było wejść w bliższy stosunek do społeczeństwa, by poza huczącym jak ul, rozgwarnym i roześmianym Paryżem spostrzedz ten drugi Paryż pracujący, tworzący, hodujący kulturę, wiedzę i sztukę, Paryż o wielkiem sercu i myśli głębokiej. Dziś, po zwycięstwie, ta fałszywa, na obcych

obliczona maska rozpusty paryskiej znikła, a odsłoniło się właściwe, piękne, poważne oblicze grodu o starej kulturze, wielkiej pracy i poważnej myśli, gdzie każdy pragnie realną pracą i uczciwym wysiłkiem przyczynić się do nowego rozwoju, do zabliznienia ran wojną zadanych, do odrodzenia ojczyzny po ciężkich przejściach.

Kiedy po powrocie z Paryża miałem sposobność ujrzeć naszą stolicę, Warszawę, ten „Paryż wschodniej Europy“ — przyznać muszę, że ogarnął mię żal i wstyd. Tłumnie zwiedzane cukiernie, w których stoły uginały się od nadmiaru najwykwintniejszych ciast i cukrów — a tuż obok, na mokrych od zimnej szarugi ulicach, na setki kroków długie szeregi ludzi wynędzniałych i bladych, wyczekujących z uporem i tępą złością na garstkę mąki lub cukru — to okropny kontrast! Zabawy i chęć rozigrania się a użycia aż do szału, obok świadomości, że wojna na trzech frontach toczy się a grożą nowe zawieruchy; brak najpotrzebniejszych środków do życia dla biedaków, a zbytek i dostatek u wzbogaconych; jakaś płytkość myśli i krótkowzroczność szału jednych, a rozpacz nędzy u drugich, to tak przykre i bolesne wrażenia, że doprawdy wstydzić się trzeba, iż u nas, w chwili odrodzenia, w chwili ziszczenia się marzeń przez cztery pokolenia pielęgowanych jak świętość — takich wrażeń doznać można. Niema w naszej stolicy atmosfery zwycięstwa, natomiast widzi się wszystko to, co w krajach, które klęskę poniosły, zgotowało przewroty społeczne i wyhodowało bolszewizm lub Spartakistów.

Takich objawów niema w Paryżu, niema u zwy-

ciężców! To co niemieckie gazety piszą o rozpoczynającym się bolszewizmie, o rozpaczliwym znużeniu społeczeństwa i objawach rozkładu czy przewrotów w społeczeństwie francuskim — to wszystko nie odpowiada rzeczywistości. Zapewne, że ludzie są trochę znużeni wojną i wysiłkami, ale daleko im jeszcze do wyczerpania; widziałem i słyszałem rozmawiających żołnierzy, wracających do domów po demobilizacji, pełnych humoru i zapewniających, że jeśli tylko „les boches“ t. j. Niemcy zaczną na nowo jakieś awantury wyprawiać, to oni jeszcze raz wrócą i jeszcze raz im pokażą co umieją!

Najwięcej troski o przyszłość powoduje stan zaopatrzenia kraju w żywność i wzrastająca drożyzna. Robotnicy z tego powodu podnoszą żądania, trafiają się nawet i strajki, ale to jeszcze nie wykracza poza granice podobnych ruchów, jakie przed wojną nieraz bywały. Podczas mego pobytu wybuchł strajk pracowników tramwajowych i kolei podziemnej (Métropolitain), strajk przykry w mieście o przekroju 20-tu kilometrów. Bezrobocie wybuchło rano; w południe rząd ogłosił, że rekrutuje wszelkie środki komunikacyjne i cały personal uważa za należący do służby wojskowej, zaś równocześnie prowadził rokowania z przedstawicielami strajkujących. Popołudniu już pociągi kursowały w ograniczonym zakresie, na drugi dzień ruch był normalny; widać więc, że w rządzie dość jest rozumu i siły, by takie konflikty zażegnawać, a w społeczeństwie tkwi jeszcze dość poszanowania praw i ładu.

Bezpośrednich śladów wojny w Paryżu wcale nie widać. Cierpiał on bardzo najpierw podczas ataków Zeppe-

linów i „raidów“, aeroplanów niemieckich zwanych „les Gothas“, a potem podczas ostrzeliwania z dalekonośnych dział, ale było tendencją rządu, aby nie rozszerzać wieści o wypadkach i o ile możności jak najszybciej usuwać ślady zniszczenia. Niemcy, bombardując Paryż, dali jeden z licznych dowodów bezgranicznego barbarzyństwa; najbardziej barbarzyńskie było jednak, moim zdaniem, bombardowanie z dalekonośnych dział. O ile mię objaśniono, pole rozrzutu pocisków, to jest możliwość błędu i zboczenia pocisku podczas strzałów, obejmowało przestrzeń szeroką na 14 kilometrów; nie było więc nawet mowy o tem, by z takiego działła mierzyć do przedmiotów mających znaczenie wojskowe. Niemcy strzelali wprost na miasto, pewni, że je trafiają, wobec olbrzymiej jego powierzchni; toteż jeden pocisk padł na kościół St. Gervais, podczas wielkopiątkowego koncertu religijnego, trafił przypadkiem w jeden z filarów i przez to pogrzebał przeszło 100 osób pod gruzami, a drugie tyle poranił. Z aeroplanów rzucono jeden ciężki pocisk na szpital kobiecy „Maternité“; bomba trafiła w skrzydło, gdzie były sale porodowe, zabiła około 100 kobiet i dzieci, mnóstwo zaś kobiet przerażonych wybuchem i łoskotem, zerwało się z łóżek i pomarło z krwotoków lub ataków sercowych. Jeden z pocisków trafił w ulicę i przebił sklepienie kolei podziemnej, jeden trafił w katedrę Notre Dame, na szczęście nie powodując szkód.

Broniono się przeciw tym atakom jak się dało. Do dziś stoją na wieżach kościołów ogromne syreny, które rykiem oznajmiały zbliżanie się ataku; zmobilizo-

wano flotyllę obronną i system dział do ostrzeliwania wroga, wywieziono dzieła sztuki z muzeów i usunięto cenne witraże z kościołów i t. p. Prócz tego surowo przestrzegano, by nikt nie rozsiewał paniki; pisma nie podawały ani opisów, ani ilustracji spustoszeń, gadatliwych karano policyjnie i to dość surowo; przedewszystkiem zaś starano się o to, by jak najprędzej naprawić i zarównać ślady uszkodzeń, tak, że dzisiaj wcale ich już nie widać. Dla podniesienia ducha sprowadzono do stolicy zdobyte działa niemieckie; jest ich niezliczone mnóstwo, bo nie tylko ogromny Place de la Concorde i Place de l'Étoile są niemi otoczone, ale i cała olbrzymia, trzykilometrowa aleja Avenue des Champs Élysées z obu stron jest gęsto obstawiona armatami wszelkich rozmiarów.

Upoił się Paryż zwycięstwem, ale przeważała w nim stara kultura; zniknął szal, pozostała prawdziwa radość i wdzięk zwycięskiego a bohaterskiego rycerza bez skazy.

W POLSKIM KOMITECIE NARODOWYM.

Na drugi dzień po przyjeździe do Paryża udałem się do Komitetu Narodowego Polskiego, którego centralne biuro i prezydium mieści się w okolicy Place de l'Etoile, przy Avenue Kléber pod liczbą 11-bis. W tej samej okolicy mieszczą się biura kongresowe prawie wszystkich narodowości; tylko niektóre, n. p. czeskie osiadły na lewym brzegu Sekwany lub bliżej centrum miasta.

Mały, bardzo gustownie urządzony pałacyk, w stylu późnego francuskiego Barocco, ale nie przeładowany ozdobami, z kilku wielkimi pokojami, a mnóstwem drobnych ubikacji, to siedziba Prezydium Komitetu. Wąskie, małe wejście dla pieszych, obok dużej wjazdowej sieni, prowadzi do niewielkiej klatki schodowej, w której mieści się domowa centrala telefonów i rezydują ordynansi, czyli, jak ich tutaj się nazywa „plantains de la porte“, z wojska polskiego. Są to zgrabne chłopaki, kilku nawet do rodnych, z różnych stron świata, z Kanady, Poznańskiego, Warszawy i Galicyi; kilku z nich nauczyło się po francusku, ci pełnią służbę przy miejskim telefonie; inni są na posyłki lub służą jako szoferzy przy automobilach

Komitetu; w wielu już na dobre rozwinął się typ Paryżanina.

W chwili, kiedy przyjechałem do Paryża, Komitet był w pierwszym dopiero okresie rozwoju. Było to przed rozpoczęciem kongresu pokojowego, przed nawiązaniem i ustaleniem się stosunków z rządem w Warszawie; agendy Komitetu nie rozrosły się jeszcze do dzisiejszej miary. Dlatego też pałacyk przy Av. Kléber mieścił nie tylko biura lecz i mieszkania kilku członków Komitetu, którzy też prowadzili wspólne gospodarstwo. Śniadanie i wspólny obiad były zarazem momentami, kiedy udzielano sobie wiadomości o ważniejszych zdarzeniach, układano plany, a często też wysłuchiowano głosu zaproszonych w gościnę interesantów lub przybyszów z kraju. Ten sposób życia już w parę tygodni po moim przyjeździe uległ zmianie z powodu rozrostu agend Komitetu. Prywatne mieszkania zmieniono na biura, zniesiono wspólną gospodarkę i stopniowo zorganizowano wielki urząd dla spraw Kongresu pokojowego. Dzisiaj Polski Komitet Narodowy zajmuje prócz lokalów prezydyalnych i biura centralnego, mieszczącego też i kasę główną, cały szereg mieszkań w pobliskiej okolicy; osobno są umieszczone: biuro prasowe, pod przewodnictwem p. Stefana Natansona, biuro opieki moralnej i materalnej nad żołnierzem polskim, któremu przewodniczył, aż do chwili wyjazdu do kraju, podpułkownik Fronczak z Buffalo; biuro propagandy pod kierownictwem p. Jana Rozwadowskiego ze Lwowa; biura misji ekonomicznej pod przewodnictwem p. Wierzbickiego, misya dla prac kongresowych pod przewodnictwem

p. Pułaskiego. Zupełnie odrębny dział, luźnie związany z pracami kongresowemi stanowi wojsko polskie, którego główne dowództwo mieści się przy Avenue Jena 15; w Komitecie sprawy wojskowe referuje p. Wielowiejski, sekretarz prezydyalny.

Prócz tych działów pracy związanej z kongresem, są jeszcze przedstawicielstwa u różnych mocarstw; pan Erazm Piltz jest upelnomocnionym przedstawicielem przy rządzie francuskim; p. Skirmunt przy włoskim, p. Kozicki przy amerykańskim, p. Sobański przy angielskim; jest osobne biuro tłumaczeń kierowane przez p. Halperta; osobną pracownię dla spraw ekonomicznych, geograficznych i terytoryalnych, oraz ich przedstawienia kartograficznego ma prof. Eugeniusz Romer; osobno istnieją grupy fachowców dla pewnych spraw, wymagających szczególnej pieczy, n. p. dla spraw Litwy (prof. Jan Czekanowski), dla Śląska, Spiszu i Orawy (prof. Szura i inni) i t. d. Rozrosła się ta instytucja ogromnie, a że powstała z skromnych zawiązków i w miarę rozrostu oraz nowych stosunków musiała parę razy zmieniać organizację, więc też ma i słabe strony i wady organizacyjne. Nieraz się tam trafia pomyłki, nieraz zbyt wolno lub nie dość energicznie sprawę się załatwia albo też względy techniczno-biurokratyczne zbyt są akcentowane; nieraz straci się dość czasu na to, aby się dowiedzieć do kogo z jakąś sprawą zwracać się należy — są to jednak usterki naogół drobne, bo śmiało powiedzieć można, iż Komitet, mimo tego że już stał się dużym mechanizmem, działa jednak prawie w wszystkich działach sprawnie i dobrze. Sądzę zaś, że jest to zasługą przedewszystkiem tych ludzi,

którzy go tworzą i to nie tylko prezydium, lecz właśnie sił fachowych oraz urzędników i to przede wszystkim urzędników biurowych, bezimiennych ale sumiennych pracowników dla sprawy polskiej.

Jedną z cech, która uderza bardzo mile od pierwszej chwili, to bardzo wysoki poziom kultury i pewna elegancja, jaką się widzi w biurach Komitetu; urzędnicy uprzejmi, nawet wówczas, kiedy ich dręczą nadmiernie liczni interesanci; praca cicha, bez zamętu i hałasu; twarze i postacie o typie prawie wyłącznie polskim, często bardzo rasowym, a nie semickim — to wszystko robi bardzo dobre wrażenie nie tylko na Polakach, ale i na obcych. Niema też wcale sztywności biurokratycznej lecz panuje swoboda, miarkowana dobrem wychowaniem. Polski Komitet dostroił się pod tym względem do ogólnego typu, panującego podczas obecnego kongresu. Amerykanie wnieśli w sposób prowadzenia narad wielką swobodę form; oficjalne tużurki i fraki niezmieranie rzadko wyciągnąć wypada. Miejsce enuncyacji oficjalnych zajęły częstokroć swobodne rozmowy towarzyskie albo pogadanki poobiedne, podczas których wyciąga się notatnik i notuje sprawy nieraz wielkiej wagi. Wprawa w swobodnem życiu towarzyskiem, która cechuje Polski Komitet, z pewnością jest mu wielką pomocą w wielu ważnych chwilach.

Osobnym działem, którego zadania są luźno związane z pracami Komitetu, ale niesłychanie ważne dla Polaków we Francyi przebywających, jest „Urząd polski dla spraw cywilnych“ (*Office polonaise pour les affaires civiles*), który stanowi rodzaj konsulatu polskiego. Po-

zostaje obecnie pod kierunkiem p. Włodka, niezmiernie sumiennie i poważnie pojmującego swe zadanie. Urząd ten był bardzo potrzebny, bo w chwili wybuchu wojny znalazło się na ziemi francuskiej bardzo liczne grono Polaków, zupełnie pozbawionych opieki. Uważano ich za rosyjan, lub za „boches“ albo „austro-boches“ i pakowano do obozów koncentracyjnych, gdzie ich czekały wcale nie rozkoszne warunki bytu. Tymi ludźmi zajęli się najpierw hr. Marya Zamoyska, siostra hr. Władysława Zamoyskiego oraz Wład. Mickiewicz, jego żona i córka; korzystając z licznych znajomości i stosunków, dowiadawali się o tych biedakach, nieśli im pomoc i pociechę, lub wyszukiwali zajęcie i możliwość zdobycia zarobku. Był w tem bardzo pomocny uczciwy i zacny Francuz, szef kancelaryi prefekta policyi, pan Paschalis, który nabrał sympatyj do Polaków jeszcze w dzieciństwie, wskutek znajomości z jednym z powstańców z 1863 roku i zachował ją na całe życie; współdziałała w tem dziele także panna Skwirczyńska, dzielnie pracująca razem z hr. M. Zamoyską. Liczne rzesze Polaków otrzymały pomoc i zostały wyrwane z przykrych warunków; jednakowoż siły jednostek przechodził taki ogrom pracy jaki trzeba było podjąć, by wszystkim choć trochę ulgi przynieść. Okazała się konieczność złączenia się z oficjalnem przedstawicielstwem Polski i utworzenia biura; kiedy zaś stanowisko Polski jako państwa zaczęło się wyraźniej zarysowywać, stworzono rodzaj konsulatu, który przedewszystkiem wziął sobie za zadanie stwierdzanie rzeczywistej narodowości tych, którzy się za polaków podawali, wydawanie świa-

dectw narodowości (certificat de nationalité) na podstawie umowy z rządem francuskim, wydawanie paszportów polskich, oraz ochronę obywateli państwa polskiego. Sekretarką biura została panna Skwirczyńska, doskonale obznajomiona z stosunkami francuskimi; biuro działa bardzo sprawnie i bardzo jest pożyteczne.

Rozrosły się i stały się bardzo różnorodne zadania i prace Komitetu polskiego; stał on się instytucją niezmiernie ważną dla Polski i dla polaków, i doprawdy szczerą wdzięczność należy się tym, którzy siłą woli, usilną pracą i rozumną polityką zdołali tę, tak pierwszorzędną placówkę do życia powołać. Jednym z tych ludzi, może najenergiczniejszym był obecny prezes Komitetu p. Roman Dmowski.

Lat temu już z górą trzydzieści, w pracowni zoologicznej w Warszawie, kierowanej przez ś. p. prof. Augusta Wrześniowskiego, studyował młody, pełen zapału przyrodnik. Pod kierunkiem swego profesora, który badał świat zwierząt najniższych z okolic Warszawy, pracował młody zoolog bardzo pilnie i usilnie, napisał bardzo udatną rozprawkę, zawierającą przyczynki do znajomości wymoczków okolic Warszawy i dostał za nią medal uniwersytecki. Tym przyrodnikiem był Roman Dmowski.

Mam wrażenie, że wiele z tych cech i zalet Dmowskiego, które mu dają wyjątkowe stanowisko pośród naszych i obcych polityków, to zasługa jego studyów przyrodniczych; bystrość obserwacji, ściśle logiczne wiązanie z sobą faktów, konsekwencja w dowodzeniu, a przytem pogoda sądu, spokój i zrównoważenie umysłu,

to cechy, wyrabiające się najłatwiej u człowieka, który zetknął się z badaniem praw życia i istot żywych. Czuł on zawsze gorąco i oceniał lepiej niż wielu, jedność polskiej rasy, bolały go straszliwie sztuczne granice kordonów zaborczych, które sercem i umysłem wyczuwał jako gwałt zadany świętym prawom natury; zbierał go strach na myśl, że nowe warunki, w jakie wtłaczali na jeźdźcy nasze trzy zabory, mogą się odbić na naszym narodzie jako nowe cechy, odmienne w każdej dzielnicy i zniszczyć przyrodzoną jego jednolitość. Czuł też głęboko niesprawiedliwy rozdział praw między klasy społeczne, a te uczucia wszystkie skryształizowały się w jego umyśle w dwa zasadnicze hasła: Jednolitość narodu przez zniesienie kordonów granicznych i demokratyczność rządu.

Przyszły na niego, w epoce pełnych sił młodzieńczych, bardzo ciężkie próby; przeszedł nieszczęścia rodzinne, zetknął się z bólem i śmiercią. Uczuł, że jedyną radą w takich momentach jest: znaleźć się w warunkach, w których człowiek jest zmuszonym rozwinąć pełnię energii i może liczyć tylko na samego siebie. Pojechał wówczas do południowej Ameryki, między tych najbiedniejszych i najbardziej opuszczonych z pośród Polaków. Widząc ten biedny lud, nie tracący charakteru i duszy polskiej mimo zupełnie odmiennych warunków, widząc jak tam, w obcej krainie jest on zdany na łaskę obcych a nie ma własnej obrony, jeszcze goręcej wyczuł konieczność walki o zjednoczenie ziem polskich, za którym jako nieubłagana konsekwencja musi iść niepodległość. Tam dojrzał u niego plan na całe życie.

Po powrocie z Ameryki południowej zaczyna wydawać „Przegląd wszechpolski“. Rozpoczął pracę sam; sam redagował, poprawiał, ba, nawet kolportował to pismo, odrazu uznane za wrogie przez bystre rządy zaborczych rabusiów, ale też odrazu znienawidzone przez partie, których taktyka polegała na lojalności wobec rządów istniejących, lub które zcierpieć nie mogły wy-suwania haseł narodowych ponad hasła walki partyjnej. Złączył się z początkowo nielicznem gronem podobnie myślących przyjaciół politycznych i to było zawiązkiem partyi „wszechpolskiej“, która z biegiem czasu przekształciła się w Narodową Demokrację.

Ci pierwsi „Wszechpolacy“, do których należał Z. Wasilewski, Balicki i Dmowski, to byli ludzie, którzy wierzyli, iż stanie się cud, iż Polska się zjednoczy prędzej niż przypuszczamy. Śmiano się z nich i nienawidzono. Pamiętam dobrze jak przed laty mniej więcej dwudziestu spotkałem się z późniejszym prezesem NKN w towarzystwie, gdzie było kilku polityków z partyi „stańczyków“; w rozmowie potrafiłem coś o wszechpolaków. Na to p. Jaworski z przekąsem zapytał: „Jako, pan widział naprawdę Wszechpolaka? To oni są? Jak mi to miło widzieć kogoś, co naprawdę widział takiego człowieka!“ — W bardzo krótki czas potem, w organie krakowskich konserwatystów rozpoczęła się płomienna walka, do dziś zresztą trwająca, przeciw tej partyi i przeciw Dmowskiemu.

Przyszły wybory do pierwszej „Dumy“; partya ND. stanęła jako silna już organizacja; rozpoczęło się też jej działanie w Galicyi i Poznańskiem. W „Dumie“ ro-

syjskiej, gdzie Dmowski już jako prezes Koła polskiego występował, Polacy okazali się jedynym elementem, realnie myślącym i chcącym pracować; pokazali siłę moralną — odpowiedziano im brutalnym gwałtem, zmniejszeniem liczby posłów. Przyszła wojna; politycy z pod trzech zaborów starali się, w każdym na swój sposób, zdobyć coś dla Polski; wierzę głęboko, iż mimo różnic metody i oryentacyi, przeważna część polityków działała w dobrej wierze. Dmowski odrazu przeczuł, że teraz nadszedł moment decyzji; odczuł Niemca, jako najbezwzględniejszego wroga, zrozumiał, że teraz nadszedł moment, kiedy może dojść do zjednoczenia ziem polskich a wierząc, że zjednoczenie trzech zaborów musi nieubłagane prowadzić do niepodległości, zrozumiał, że to zjednoczenie dać może tylko koalicja i stanął bezwzględnie a twardo po stronie aliantów. I to jest jego główny atut polityczny, to jego zdobycz, której owoce teraz dojrzewają. On i ci, którzy z nim poszli i którzy stworzyli paryski Komitet narodowy, w tych zawodach politycznych, które się rozgrywały w czasie wojny, trafili w centrum, wybrali słuszną drogę i uratowali stanowisko Polski wobec koalicji.

Mówiono o Dmowskim, że jest „rusofilem“, że poszedł na służbę caratu i t. p. Pamiętam doskonale jak on przed laty sam transportował do Królestwa, przełamując się przez kordon moskiewski, nielegalną, przeciw carowi zwróconą literaturę. Wiem dobrze, iż on właśnie nieraz bolał nad tem, że duch rosyjski wciska się do Polski i zaczyna przejawiać nawet w literaturze. Nie z miłości do Rosji pojechał do Japonii w czasie

wojny rosyjsko-japońskiej. A w czasie obecnej wojny dobrze on rozumiał, że prawdziwa pomoc dla Polski przyjść może z Zachodu, nie od białego cara; to też jeśli musiał w pierwszych latach wojny iść razem z Rosyą, to nie czynił nic innego, jak ci, którzy wierząc w potęgę Niemiec, z nimi razem iść pragnęli i w styczniu 1915 ponawiali w Wiedniu przysięgę: „Przy Tobie, Panie, stoimy i stać chcemy!”

Dmowski nawykł od dawna do tego, że pracował sam, nie dzielił się szczegółami pomysłów i raczej więcej brał pracy na siebie niż organizował pomoc. Może to jego usposobienie sprawiło, że w Narodowym Komitecie Polskim są pewne wady organizacyjne. Natomiast trzeba przyznać, że orientuje się w najtrudniejszych sprawach znakomicie i z niesłychaną bystrością wyciąga z nich istotną ich treść. Do dyskusyi podczas konferencyi pokojowej musi on dostawać argumenty od specjalistów; trzeba przyznać, że umie ich używać w właściwej chwili i zna ich walor, choćby się tyczyły sprawy niezbyt dobrze mu znanej. Najsłabszą jego stroną jest zbyt mała znajomość stosunków ekonomicznych; umie jednak używać argumentów ekonomicznych, wypracowanych przez fachowców z biura kongresowego polskiego.

Jedną z zalet Dmowskiego, które mu pozwalają lepiej niż innym spełniać rolę zastępcy Polski na Kongresie, jest doskonała znajomość języka angielskiego, francuskiego i włoskiego; z czasów pobytu w Japonii, gdzie bawił w czasie wojny japońsko-rosyjskiej, wyniósł pewną znajomość języka japońskiego, wiem że używał

go czasem, mówiąc do przedstawicieli Japonii na Kongresie pokojowym. W przemówieniach swoich spokojny, ale doskonale i logicznie argumentujący, czasem przeplata mowę jakimś dowcipem, zwrotem lub porównaniem; w prywatnych rozmowach pełen pogodnego humoru. Jedną on sobie ludzi, z którymi się zetknie, lub wywiera na nich wpływ spokojnym i logicznym sposobem argumentacji; nie lubią go najbardziej ci, których w tak spokojny sposób pokonał, nienawidzą ci, których byстрыm dowcipem ośmieszył; a co prawda nie zawsze jest ostrożny, by nie zrobić sobie niepotrzebnego wroga.

Dostać się do Dmowskiego na chwilkę rozmowy niezmiernie trudno; najłatwiej jeszcze można z nim pogadać, jeśli się trafi na rzadko się zdarzającą wolną chwilkę, kiedy idzie na przechadzkę. Pracuje on z niesłychanym natężeniem i napięciem; jeśli mu się jednak trafi chwileczka wytchnienia, gotów jej użyć z całym wybuchem młodzieńczego animuszu. Jednostka to życiowo niezmiernie silna i niespożyta; w tem jej wysoka wartość jako realnego pracownika.

Zastępcą prezesa Komitetu Paryskiego jest Ordynat hrabia Maurycy Zamoyski. Dość spojrzeć na tego człowieka i kilka słów z nim zamienić, aby się przekonać, że to wzór szlachetnego, rozumnie ofiarnego i zdolnego do najwyższych poświęceń, a prawdziwie polskiego arystokraty; był czas, że istnienie Komitetu było możliwe jedynie tylko dzięki jego poparciu. Do niego należy ostateczna decyzja w sprawach kasowych, on pod-

pisuje wizy dyplomatyczne i spełnia wiele innych czynności; umie urządować i radzić.

Sekretarz generalny, pan Wielowiejski, prowadzi też i referuje w Komitecie sprawy wojskowe, spełnia ze strony Komitetu rolę łącznika między nim a armią, mającą zresztą swego bezpośredniego zastępcę w osobie generała Hallera. Do sekretarza generalnego należy biuro, w którym mieści się dziennik podawczy i archiwum; on normuje całą urzędniczo-biurokratyczną stronę agend Komitetu, ma zaś tę ambycję by nie wykraczać przeciw obowiązkom dobrego urzędnika. Nie jest to, co prawda, łatwo trzymać się podobnej zasady w instytucyi, w której nawał, różnorodność, a zwłaszcza nagłość spraw często zmusza do odstąpienia od zasad poprawnej biurokracyi; trzeba jednak przyznać, że p. Sekretarz generalny zazwyczaj w razie potrzeby da się przekonać o konieczności zerwania z zwykłym „urzędowym” trybem załatwiania agend.

Biuro propagandy prowadzi p. Jan Rozwadowski ze Lwowa. Trzeba sobie zdać sprawę z tego, że propagować ideę niepodległej Polski musi się nie tylko między obcymi, ale także między nieuświadomionymi polakami, trzeba przypomnieć sobie, że do Koalicyi, która miała decydować o losie Polski, należała przez blisko cztery lata także i carska Rosya, aby zrozumieć z jakimi trudnościami miał do walczenia ten dział Komitetu. Wiadomo doskonale, że Francya, nasza dawna i szczerza przyjaciółka, naogół o nas niewiele wiedziała; wiedziano że jest jakiś kraj, podzielony, że potężny aliant — Rosya — wydał odezwę o odbudowaniu Polski,



The restored Union of Poland will constitute a primordial factor in the future European Balance of Power.

Mesuri Arguilla and Bitland, 16 XI. 16.

Our own efforts in the war will be directed towards helping Poland to realize her unity on the lines of the Russian Proclamation, that is to say, under conditions, which will make her strong and independent. We hope, that after the war Great Britain will remain united to Poland in the bonds of closest friendship.

Bonar Law, 26. IV. 17.

As a matter of fact, Prussia would be unable to dominate Germany were she deprived, to the benefit of Polish right, of Posenania, Silesia, Eastern and Western Prussia.

Temps, 18. XI. 16.

Had there been no war, the respective populations would have amounted to :

in **Great Britain 48 mill.**, in **France 40 mill.** and in **Germany 70 mill.** inhabitants, that is to say, in case of war : in Germany, 3 millions soldiers more than in Gr. Britain, 4 mill. sold more than in France

After the war, and by the liberation of Prussian Poland (9 millions inhabitants), of Alsace-Lorraine (2 millions) and of Schleswig-Holstein (1.8 million), the respective populations would then be :

in **Great Britain 48 mill.**, in **France 42 mill.** and in **Germany 57 mill.** inhabitants leaving out the losses sustained through the war operations and the blockade, which would be heavier in Germany than in Great Britain and France.

MAPA EUROPY WYDANA PRZEZ POLSKI KOMITET NARODOWY W CELU PROPAGANDY SPRAWY POLSKIEJ W 1914 R. — ZE WZGLĘDU NA ROSYĘ, WSCHÓD POLSKI NIE ODGRANICZONY.

że są przedsiębiorstwa w Dąbrowie czy Borysławiu, gdzie można lokować kapitały — a zresztą niewiele więcej. Mapa frontów bojowych, rozpad Rosyi, budząca się moc naszego narodu, zaczęły uczyć o nas i zmieniać pojęcia; poznano naszą wartość, zaczęto rozumieć nasze dążenia. Propagandę idei wolnej Polski z konieczności trzeba było przystosować do tych, zmieniających się warunków. Jak sprytnie do tego się zabierano, tego dowodem drobny, ale charakterystyczny szczegół.

Biuro propagandy wydało szereg Map Polski, z krótkimi objaśnieniami w francuskim lub angielskim języku, na kartach pocztowych, które rozesłano i rozrzucono gdzie tylko się dało. Pierwsza karta była wydana jeszcze w r. 1914; wówczas to, jeszcze potężna Rosya była tym aliantem, który odciążał front zachodni, który miał zgnieść Niemca, a co dla nas najważniejsza, nie powziął korzystnej i niedwuznacznej decyzji w sprawie naszej niepodległości. Mapę Polski, łącznie z mapą środkowej Europy tak więc ułożono, że granice zachodnie oznaczono bardzo wyraźnie, ale przesunięto cały rysunek tak, że brzeg kartki ucinał cały wschód Europy, a z nim też i te części graniczne między Polską a Rosyą, co do których dyskusya byłaby w owym czasie bardzo drażliwa i dla nas niebezpieczna. Trzeba było wówczas „przycząć się“ wobec Rosyi, podnosząc nasze walory wobec reszty koalicji.

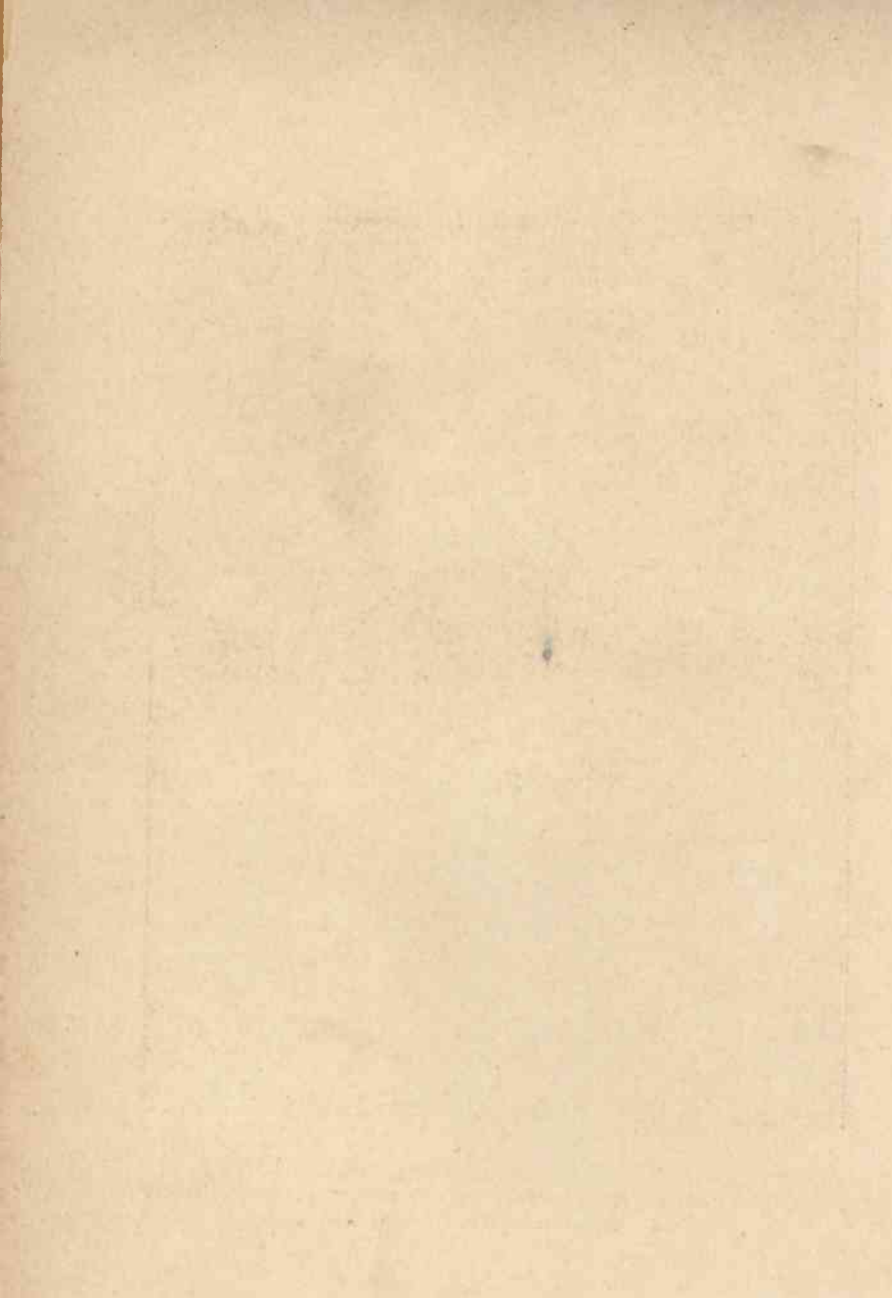
Drugą podobnego typu mapkę wydano w r. 1916. Było to już po bitwie pod Gorlicami; Rosya zaczęła zawodzić jako czynnik militarny; budziło się niezadowolenie z jej działania. Równocześnie mapa frontów wyka-

zywała jaki to olbrzymi i zasobny obszar przypadł na razie mocarstwom centralnym i nasza wartość zaczęła w jasnym świetle występować. Można było wobec tego śmielej postawić żądania, ale zawsze jednak trzeba było politykować, bo Rosya nie była pokonaną i urok jej potęgi jeszcze nie zagaśł. Wzięto więc jako granicę tylko wschodnią linię frontu. Objasniono, że mówi się tylko o części Polski znajdującej się pod chwilową władzą mocarstw centralnych; znów więc, nie zrzekając się niczego, ominięto szczęśliwie sprawę wschodnich granic.

Rok 1918, rozpad Rosyi i jej rozkład wewnętrzny, nareszcie rozwiązały nam ręce! Zniknął ten aliant wschodni, łudzący pozorami siły, można już było otwarcie postawić żądania, przypomnieć prawa historyczne i dać jasny program na dzisiaj. I znów wyszła mapka, już zupełnie bez ogródek mówiąca o naszych dążeniach, dająca granice historyczne oraz proponowane teraz na kongresie.

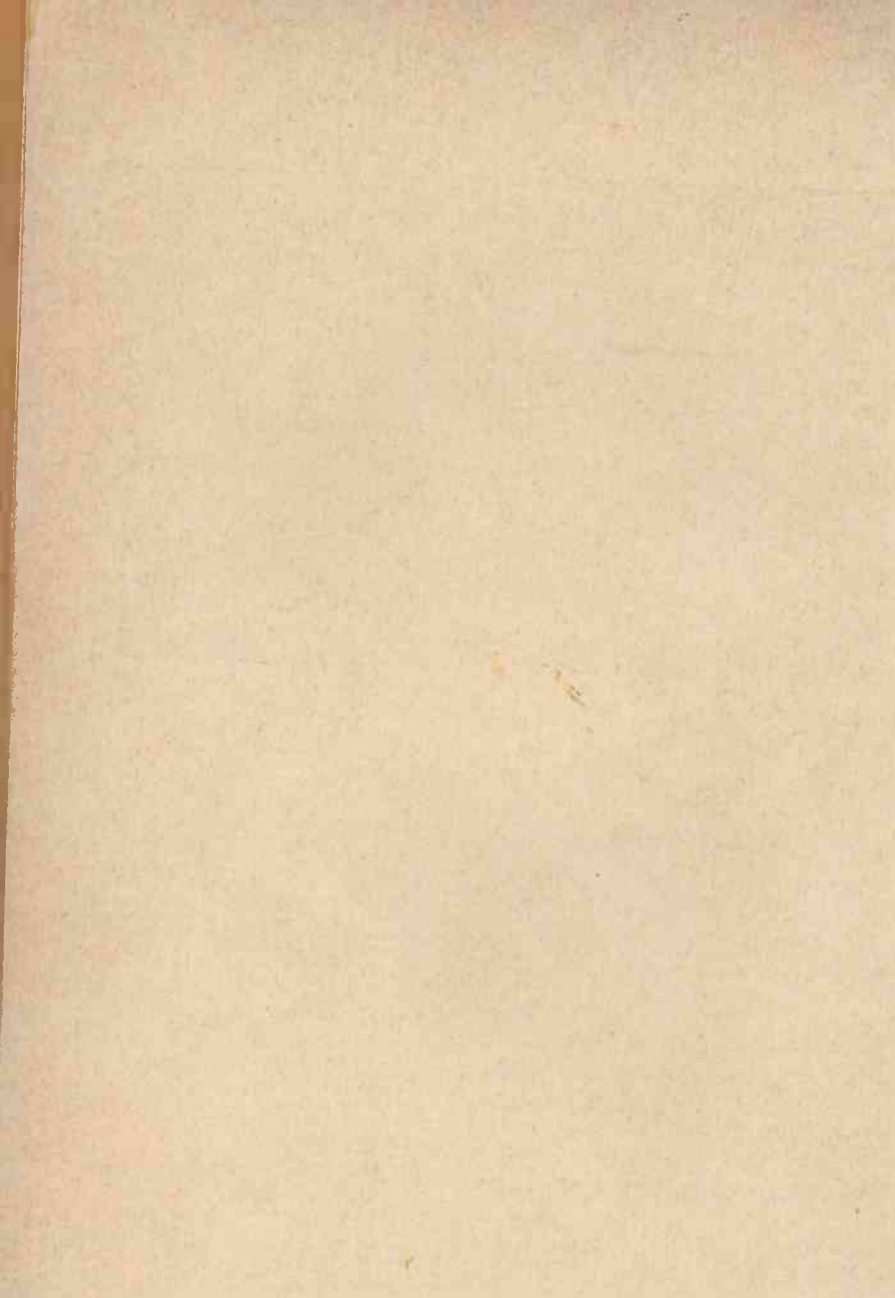
Ten drobny przykład działalności biura propagandy podaję nie tylko jako charakterystykę jego pracy, ale także jako jasny dowód, jak bardzo krzywdzące były zdania tych, którzy Komitet Paryski pomawiali o rusofilstwo. Komitet musiał kryć się i nie pokazywać właściwych zamiarów, musiał uprawiać wobec Rosyi to, co we Francyi określa się wyrażeniem „camouflage“.

„Camouflage“ jest to sposób ukrycia przed wrogiem dużych przedmiotów, które muszą być dość łatwo widoczne. Maluje się je we wzór zupełnie nieregularny, złożony z dużych, całkiem fantastycznych plam, białych, szarych, granatowych i zielonych. Taki krasiaty





MAPA EUROPY WYDANA W R. 1918 PRZEZ POLSKI KOMITET NARODOWY W PARYŻU.



przedmiot ginie zdala dla oka; nieregularne plamy gubią go w terenie i zlewają z nierównościami na horyzoncie. Otóż musiał taką politykę ukrywania zamiarów prowadzić i Komitet, o którym przecież rząd carski wiedział doskonale, że składa się z Polaków, którzy się niczego nie zrzekli!

Biuro propagandy wydało cały szereg publikacji o Polsce po francusku i po angielsku, przetłumaczyło i wydało całą biblioteczkę broszur aktualnych, wypracowało i wydało ogromny tom dokumentów odnoszących się do sprawy rozbiorów i granic Polski. Dla Polaków jest też szereg publikacji; te idą głównie do wojska, dawniej zaś szły do obozów jeńców, znajdujących się we Francji lub we Włoszech (n. p. pismo p. t. „Jeniec Polski“).

Do pewnego stopnia do spraw propagandy możnaby zaliczyć publikację dwóch dzienników t. j. „Polak“ i „Independence polonaise“. — „Polak“, wychodzący co trzeci dzień to pismo dla wojskowych; wiem, że każdy jego numer jest chciwie czytany i podawany z rąk do rąk w obozach naszej armii. W duchu szczerze polskim, zawierający dobre sprawozdania z polityki i krótkie artykuły o bieżących najważniejszych kwestiach, jest wcale dobrze redagowany. Fatalne okoliczności, w których sprawował władzę rząd p. Moraczewskiego i dość niejasne stanowisko Naczelnika Państwa sprawiły, że w „Polaku“ występowano z ostrą krytyką obu wymienionych osób; krytyka ta czasem była za ostra i nie licząca się z usposobieniem oraz nawyczkami tych, którzy „Polaka“ czytali. Trzeba sobie przypomnieć, że w wojsku polskim we

Francyi znaleźli się i legioniści z legionów Piłsudskiego; dla nich osoba ich dawnego Komendanta była postacią nieledwie legendarną. Otóż, mojem zdaniem, jest zasadniczym błędem ostre występowanie przeciw wszystkiemu, co jest legendą lub wierzeniem. Wiarę lub legendę rozwiązać mogą tylko pozytywne fakta, a nigdy krytyka, zwłaszcza namiętna; skutek takiej krytyki może być wprost przeciwny zamierzonemu. Wielkie to szczęście iż dziś, podczas rządów Paderewskiego już te tarcia ustały!

„Independence Polonaise“ to dziennik poważny, rodzaj przeglądu tygodniowego, zawierający wykład najważniejszych spraw polskich, informacje, artykuły programowe, oświecenie spraw terytoryalnych lub ekonomicznych polskich; redaguje go Prof. Stan. Stroński z Krakowa. Czytywałem ten dziennik z wielkiem zajęciem, ale niewiem, czy Francuz odnosił się do niego w ten sam sposób. Mam wrażenie, że w pierwszych numerach niezupełnie trafiono w tym dzienniku w to, czego potrzeba publiczności a choćby i politykom francuskim lub innych narodowości. Artykuły, choć nieraz doskonałe, bywały zadługie; numer dziennika mający 16 stron wyglądał odstrasząco poważnie; w dalszych numerach zmieniono typ pisma, dano artykuły krótsze i treściwe, wyborne mapy spornych terenów i jasne a bystre objaśnienia o sprawach aktualnych. Wiem też, że obecnie poważni politycy i pisma francuskie do tego dziennika w miarę potrzeby chętnie zaglądają.

O ile publicystyczna działalność biura propagandy stoi wysoko, to mojem zdaniem nie są należycie zorganizowane inne jej działy. Propaganda myśli polskiej

« Zasiwajcie miłość Ojczyzny i
duch poświęcenia się, a bądźcie
pewni, iż wyrosnie Rzeczpospolita
wielka i piękna ».

Adam MICKIEWICZ
(długo Polakim)

POLAK

(LE POLONAIS)

Tel. : Passy 81-79 — 37, Avenue Kleber. — Paris (16^e)

L'INDÉPENDANCE POLONAISE

PARAIT TOUS LES SAMEDIS

REDACTION : 37, Avenue Kleber, Tel. Passy 13-48

ADMINISTRATION : 37, Avenue Kleber, Tel. Passy 81-79

N° 1

SAMEDI 25 JANVIER 1919.

42^e 100 000 000
2 Mars 1919, Paris.

PISMA WYDAWANE PRZEZ POLSKI KOMITET NARODOWY.

za pomocą wykładów i pogadanek między żołnierzem polskim, podtrzymywanie jego ducha podczas krwawej tęsknoty za krajem, przeciwdziałanie agitacyom, które naszym żołnierzom ukazują obce kraje, n. p. Amerykę, jako lepszą niż Polska — to wcale nie zostało uwzględnione. Zwracałem na ten wielki brak uwagę Komitetu; powiedziano mi, że to sprawa, którą wziął w ręce jeden z literatów-krytyków, stale zamieszkałych w Paryżu ale — nic nie zdziałał w tej mierze. Uderzyło mię też, że spotykałem w Paryżu wycieczki żołnierzy różnych narodowości, Anglików, Amerykanów, Włochów a nawet i Czechów, zwiedzające miasto pod przewodnictwem członków miejscowej kolonii odpowiedniej narodowości; nie słyszałem wcale, aby dla Polaków zorganizowano coś podobnego. Tłumaczę sobie te usterki tem, że agendy biura propagandy nagle się rozrosły i nie było czasu na objęcie wszystkich spraw.

W związku z działem propagandy pozostaje biuro prasowe pod przewodnictwem Stefana Natansona. Trudne i żmudne ma ono zadanie! W zawiłym świecie intryg politycznych, wśród potężnych instytucji dziennikarskich, wśród ludzi, u których często ponad słuszością sprawy stoi nakaz z góry dany lub interes państwowy, klasowy a nawet osobisty, wśród nawału wrogich dla Polski potęg działających na prasę wszelkimi środkami — wyrobić polskiemu słowu i polskiej słuszości miejsce należne, to doprawdy zadanie olbrzymie! A jeśli może nie zawsze udaje się przełamać wszystkie trudności, to przyczyną tego są przedewszystkiem większe trudności niż ma jakikolwiek inny naród do zwalczania.

Jest jeszcze biuro opieki moralnej i materialnej nad żołnierzem polskim, kierowane przez podpułkownika Dr. Fronczaka z Buffalo, aż do czasu jego wyjazdu z misją Czerwonego Krzyża Amerykańskiego do Polski. Działalnością tego biura byłem zachwycony. Dzięki stosunkom Polaków w Ameryce z Czerwonym Krzyżem Amerykańskim i z potężną organizacją Young Man Christian Association (Y. M. C. A., zwaną przez naszych żołnierzy Ajemsije), Dr. Fronczak zebrał ogromne zapasy bielizny, ciepłej żołnierskiej odzieży, mydła, lekarstw, a nawet różnych słodczy i tytoniu, które to przedmioty rozdawał między naszych żołnierzy. W jego biurze wydano pouczenie o zakaźnych a zwłaszcza płciowych chorobach, gramatykę francuską z rozmówkami, śpiewniki i książeczki do nabożeństwa oraz wiele innych pożytecznych publikacji dla żołnierza. Technikę rozdawnictwa zorganizował w sposób prosty i sprawny, nie szczędząc pracy i czasu. Jego biuro było jednym z najsprawniej działających w Komitecie Narodowym.

Nie będę się już szeroko rozpisywał o innych działach Komitetu, o pracownikach i politykach tak pilnych i wytrwałych jak p. Erazm Piltz, którego działalność dobrze u nas znana, lub p. Kozicki od dawna już z całym wysiłkiem pracujący dla Polski, najpierw w Anglii, potem we Francji, jako jeden z dawnych i stałych towarzyszy Dmowskiego; wspomnę, że prócz tych głównych pracowników jest cały zastęp sekretarzy, kartografów, tłumaczy, ekspertów; przewijają się przygodni pomocnicy lub delegaci, których obecność lub pomoc dodaje nowych argumentów do spraw, o które się walczy na kon-

gresie; co parę dni wyprawia się do Polski kuryerów z walizami dyplomatycznymi opieczętowanymi i wolnymi od wszelkiej rewizji na granicach państw; słowem wre praca, a choć aparat urzędniczy Komitetu i personal pracujący jest liczny, to jednak jest on przeważnie przepracowany.

Jest w Komitecie, przy Avenue Kléber 47 bis, małe biuro, złożone z dwóch ubikacji, niezmiernie prosto urządzone, w którym pracuje tylko trzy czy cztery osoby, które jednak dają jedne z najlepszych argumentów za sprawą polską; jest to biuro profesora Eugeniusza Romera, znanego geografa, autora statystycznego atlasu Polski.

Wiemy doskonale wszyscy, jakie wrażenie wywołała w kraju publikacja atlasu prof. Romera. Wypracowane w czasach kiedy Rosjanie zajmowali Lwów, kiedy siła i brutalność mocarstw centralnych pod pozorami „oswobodzania“ Polski, święciły orgie wyzysku i ucisku naszej ojczyzny, było to dzieło źródłem z którego można było czerpać otuchę i orzeźwić się w chwili zwątpienia. Z kart tego atlasu głośno przemawia P r a w d a, mówiąc: „Jest nas wielu, mamy w kraju bogactwa, mamy przyszłość przed sobą“. Była to publikacja, w której, wbrew duchowi rządów zaborczych, zjednoczono ziemie polskie, wykazywano ich związek i nierozłączność. Dla nas, Polaków, to źródło pociechy i nadziei. Ale mało komu jednak dzisiaj wiadomo jakie znaczenie przypisała tej wspaniałej publikacji koalicja. We wszystkich pań-

stwach, zwłaszcza zaś w Ameryce, od chwili kiedy się rozpoczynała przechylać szala zwycięstwa a nawet i dawniej jeszcze, wrzała praca nad przygotowaniem naukowemu do kongresu pokojowego. Starano się poznać i ocenić kraje, o których miała być mowa podczas rokowań pokojowych, zmobilizowano wszystkich geografów i statystyków zajmujących katedry uniwersyteckie i zaczęto zbierać źródła oraz dokumenty do oceny stosunków państw w grę wchodzących. Zajęto się też i Polską. Do Ameryki, z trudem, okólnymi drogami dostał się jeden egzemplarz atlasu Romera; uczeni tamtejsi zdumieni się widząc to dzieło. Poddano je krytyce, sprawdzono daty i uznano że ten atlas musi być podstawą od której ma się zacząć badanie i wyrabianie opinii o Polsce. Trzeba było dostać więcej egzemplarzy; kordon graniczny mocarstw centralnych był zbyt nieprzenikliwy; za usiłowania przesyłki prof. Romer odpowiadał przed sądem wojсковym. Niezrażeni Amerykanie odfotografowali każdą kartę atlasu i wykonali dwadzieścia odbitek, kolorowanych ręcznie, przeznaczonych dla dwudziestu uczonych pracujących dla Kongresu. Jeden z najwybitniejszych uczonych amerykańskich, członek komisji kongresowej, wyraził się za mego pobytu o atlasie Romera, że jestto najlepszy z dobrych uczynków, które zrobiono dla sprawy polskiej.

Stosunki osobiste i bardzo przyjazne jakie miał od dawna, lub zawarł obecnie prof. Romer z fachowcami wszelkich narodów nie są też bez znaczenia dla naszej sprawy; stara on się oświecić bądź to całość sprawy polskiej, bądź też poszczególne kwestye albo w rozmo-

wach prywatnych, albo w dłuższych lub krótszych układach, a wreszcie robiąc nowe mapy albo całości Polski albo jej części, na których graficznie przedstawia sprawy sporne, zwłaszcza sprawy terytoryalne.

Praca Romera niebyłaby możliwa, gdyby nie miał pomocy w wybornym kartografie, oddanym wyłącznie na jego usługi, panu Szumańskim, nauczycielu ludowym z Limanowy, genialnym samouku, który z niesłychanym sprytem, bystrością i szybkością wykonywa mapy według pomysłów i wskazówek swego kierownika.

Cicha praca w biurze prof. Romera to jedna z najtęższych podpór naszej sprawy na kongresie paryskim.

Na kongresie pokojowym, wobec pełnej rady pięciu wielkich i zwycięskich mocarstw, wszystkie narody odradzające się, wszystkie państwa nowopowstające przedkładały żądania i życzenia, snuły plany terytoryalne i ekonomiczne, starały się wykazać jakie powinny mieć granice i na zasadzie jakich praw o nie się upominają, omawiały sprawy odszkodowań i rewidyndykacji. Był taki „dzień“ belgijski, jugosłowiański, czeski, króla Hedžas, a także i dzień polski. Exposée p. Kramarza i Dmowskiego następowały po sobie i stąd nasuwała się możliwość porównania argumentacji obu tych polityków. Kramarz rozwinął wspaniały obraz przyszłego państwa czechosłowackiego; złączył je granicami z Rumunią, Jugosławią i Rosyą (przez Ukrainę, którą zresztą traktował jako część Rosyi); starał się przedstawić Czechy jako jedyny

element ładu i porządku w Europie wschodniej, element zdolny opanować bezład rosyjski i zrobić w tem państwie porządek; świetnie rozwinął plany ekonomiczne, opanowanie żeglugi na zneutralizowanych rzekach i w wolnych portach od Bałtyku do Morza Czarnego i Adryatyku; zajął w swych planach ziemie śląskie na prawach historycznych, pas ziemi od Czech do Jugosławii na podstawie konieczności państwowych i dobra międzynarodowego, hrabstwo Kladzkie dla wyrównania granic, a niemieckie części Czech z całego szeregu różnych powodów. Mowa jego i program były świetnie pomyślane, były poparte przeróżnymi argumentami obliczonymi na psychologię oraz wrażliwość koalicji na własne interesy. I ta mowa — chybiła celu; Czesi wyszli z niej jako zaborcy, imperyalisci, stawiający zasadę samostawienia narodów poniżej interesów państwowych, egoistycznie pojętych.

Dmowski miał mowę zupełnie odmiennego typu; odstąpił od granic historycznych, poszedł za etnograficznymi wyrównując je tylko tam gdzie to było konieczne; położył główny nacisk na stronę polityczną, nie roztaczał planów ekonomicznych; graniczne terytoria określał ostrożnie, nie podkreślał zbyt interesów koalicji ani nie brał fantastycznych zobowiązań. Przedewszystkiem zaś do każdego punktu polskich żądań miał argumenty zupełnie ścisłe, rzeczowe. Jego mowa zrobiła wyborne wrażenie; uznano żądania za umiarkowane i nadające się do dyskusji; zarzut zaborczości i imperyalizmu nie znalazł w tej mowie ani śladu poparcia; uznano, że

chciał rzeczy dopuszczalnych a popierał swe żądania prawdą. Prasa oceniła pochlebnie nasze żądania.

Jest zasadą, że te argumenty i dowody, które się przedkłada do oceny kongresowi ze strony Polaków, są zawsze rzeczowe i oparte na danych o ile możliwości ścisłych; niema wcale zwyczaju posługiwania się argumentami naciąganyymi lub wręcz nieprawdziwymi albo też stawiania wygórowanych żądań, by można, przy ostatecznych targach, coś z nich opuścić. WYROBILI sobie Polacy taką opinię, że pracują rzeczowo i mówią prawdę; przyznali to nieraz obcy geografowie i statystycy z biur kongresowych. Jestto metoda, która naszej polskiej naturze odpowiada; podkreślam ją dlatego, ponieważ w dawnej Austrii były zwyczajem targi polityczne i zmniejszanie żądań lub obcinanie koncesyi. Ta, dawna austriacka metoda zawodzi i robi złą opinię w Paryżu; nasi politycy muszą się od niej odzwyczaić!



MAPA ZIEM POLSKICH, oraz MAPA ŻAŁAŃ NOWEGO PAŃSTWA POLSKIEGO,
OPRACOWANA PRZEZ POLSKI KOMITET NARODOWY W PARYŻU.

Części jasne: absolutna większość polska. — Części kratkowane prostopadłe: terytoria równości narodowej z przewagą kulturalną i ekonomiczną Polaków. — Części kratkowane ukośnie: terytoria względnej przewagi żywiołu polskiego. — Części paskowane pionowo terytoria: mniejszości polskiej. — Ciemny pas otacza zarys projektowanego państwa.



MAPA ZIEM POLSKICH.

Niema dzisiaj w Polsce z pewnością ani jednego czującego serca, ani jednej wrażliwej duszy, ni myślącego umysłu, którychby nie dręczyło najżywotniejsze z pytań: Jaką będzie Polska? Jakie granice zakreslą nam potężne mocarstwa koalicji?

Za mego pobytu w Paryżu, ani dzisiaj jeszcze nikt nie mógłby dać odpowiedzi na te pytania; ostateczna decyzja nie od nas zależy. Powinniśmy jednak zdać sobie sprawę z tego, czego się da żądać, do czego mamy prawa, z czego zaś można czy też należy zrezygnować. Komitet paryski długo rozważał te sprawy, a wynikiem narad i gruntownych studyów jest mapa projektowanych granic Polski. Podajemy ją tutaj w tej postaci, w jakiej była w początku stycznia 1919; późniejsze rozważania, pertraktacje i sytuacja polityczna zmieniły ją nieco. Z północy odpadła od niej cała ta część polskich Inflant (Livonie polonaise), która długim językiem wysuwa się poza Dźwinę. Na północnym zachodzie linia granic od polskiego wybrzeża, przez Warmię i pruskie pojezierze inaczej została zarysowana przez propozycje decydujących mocarstw.

W ogólnych zarysach pozostaje ta mapa jednak do dziś dnia jako podstawa do rokowań i targów.

Jeden rzut oka na mapę wystarczy, by stwierdzić, że propozycje naszego przedstawicielstwa odbiegły daleko od granic historycznych państwa polskiego z r. 1772. Ustąpiliśmy na zachodzie z niektórych części; opuściliśmy szeroki pas dawnych ziem państwa naszego na wschodzie. Ten jeden tylko fakt, że argumentów historycznych nie uważamy za jedyną podstawę od wykreślenia granic, uwalnia nas zupełnie z zarzutu, iż mamy dążenia zaborcze, imperyalistyczne.

Zastosowano się, układając tę kartę ziemi naszej do zasad Wilsona, zasad głównie etnograficznych; wyznaczono gdzie polska ludność ma przewagę i to albo bezwzględną, albo gdzie ma równość liczebną, lecz przewagę kulturalną, wreszcie gdzie ma większość i przewagę względną, t. j. gdzie jest najliczniejsza z pomiędzy kilku narodów, razem na danym szmacie ziemi mieszkających (np. w Grodzieńskim lub Mińskim, gdzie obok siebie mieszkają Litwini, Białorusini i Polacy). Gdybyśmy sobie obrysowali te okoliczności, w których wspomniana przewaga Polaków da się stwierdzić (na mapie części jasne i kratkowane prosto lub ukośnie), to otrzymalibyśmy figurę o głębokich wcięciach i zatokach; koło Karpat wsunąłby się język mniejszości polskiej (poła o paskach pionowych), a także i cała część na południe od Pińskich błot do granic Galicyi i powiatu Proskurowskiego, to szeroka zatoka około terytorium z polską przewagą. Tego rodzaju granice byłyby dla państwa polskiego zgubne; od

chwili powstania musiałyby ono być skazane na zagładę lub conajmniej na bardzo szybką utratę milionów obywateli i całego terytorium wsuniętego między mniejszości. Strategicznie, takie granice byłyby też nie do utrzymania. Zresztą strata Karpat, stanowiących na znacznej przestrzeni trzon podstawowy naszej ziemi, musiałyby pociągnąć za sobą stratę bardzo wielkiego terytorium z przewagą żywiołu polskiego. Obok więc zasad etnograficznych musiały być wzięte pod rozwagę konieczności państwowe, względy strategiczne i ekonomiczne.

Zachodnia granica obejmuje od północy pas z mniejszością polską, konieczny dla obrony wybrzeża; w zamian za pewne przekroczenia linii granic z 1772 r. oddzielono od nowej Polski nieco ziemczonej ziemi, dawniej do nas należącej. Południowy zachód granic wchodzi w Górny Śląsk i odcina od Prus regencyę opolską, zaś na południowy-wschód od Prądnika część regencyi raciborskiej. Księstwo Cieszyńskie, prócz powiatu frydeckiego, wchodzi w nasze granice, które ciągną się dalej, obejmując, już od południa, część powiatu czackiego i Orawę. Spiskie Tatry i Spisz, gdzie granica okrąża dolinę Popradu, do naszej ziemi zaliczono; dalej wykreślono granicę na granicy Karpat, tak jak dawniej biegła, aż do punktu, gdzie w rumuńskich okolicach zwraca się ostro ku północnemu-wschodowi aż do Dniestru. Dniestrem do Uszycy, potem na północ do Horynia i wreszcie Berezyny, by okrążyć polską Mińszczyznę. Od Dryssy, Dźwiną na zachód, potem ku południowemu-zachodowi, na granicy polskich części dawnej wileńskiej gubernii, biegnie projektowana

linia do polskiego terytorium, przecina północną część Suwalszczyzny, oddając jej część nowej Litwie, i wchodzi do pruskich Mazurów, by koło Warmii a w połowie Kurskiego zalewu dotrzeć do morza.

Kiedy mapa nakreślona przez polityków, geografów i ekonomistów oraz strategików pracujących w Komitecie została podana do wiadomości, kiedy p. Latour-Gayat, członek Akademii paryskiej, przedstawił ją, na odczucie, publiczności paryskiej, a pisma zaczęły o niej rozprawiać, zawrzało jak w ulu. Widziałem jednego z najzacniejszych członków kolonii polskiej w Paryżu, wybitnego naszego arystokratę, jak z żalem, rozpaczą i zapałem potępiał Komitet za to, że nie trzymał się historycznych granic z r. 1772 na wschodniej stronie państwa polskiego; widziałem jednego z najrozumnij-szych obywateli z Białorusi, jak niemal z płaczem mówił: „Czemuż nas, Białorusinów, wziąć nie chcecie i zostawiacie nas na pastwę dziczy rosyjsko-ukraińskiej?”

Równocześnie jednak mówił do mnie jeden z socy-alistów w Paryżu, że to bezsensowne, by tyle żądać na wschodzie i na zachodzie; wszak państwo, zlepione z tak różnych elementów musi być nieżywotne, więc trzeba oddać te parę milionów Polaków naszym są-siadam. Zupełnie podobne zdania, okraszone jeszcze frazesami o reakcyi i ochronie wielkiej własności kre-sowej, o zaborczości, imperyalizmie itp. mówili mi w Krakowie różni socjaliści.

Naturalna rzecz, że kraj tak położony jak Polska, mający teren tak łatwy i podatny do inwazyi zarówno wojskowej jak pokojowej, kolonizacyjnej — nie może

mieć kresów tak zwartych etnograficznie jak państwa rozdzielone górami, morzem czy pustynią. Stąd też łatwo zrozumieć, że pojęcie etnograficzne i pojęcie terytoryalne państwa polskiego nie mogą w zupełności w jednakowych mieścić się granicach; zresztą pod tym względem Polska nie stanowi wyjątku. Na terenach granicznych, może o ich ostatecznem rozgraniczeniu rozstrzygać interes państwa i to interes osłaniający równie dobrze stronę narodową jak i terytoryalną. Nie możemy i nie powinniśmy stracić lub darować sąsiadom ani piędzi tej ziemi, na której naród nasz wyrył piętno i żyje zadowiony od wieków; nie możemy też oddawać tych terenów, których zajęcie przez wrogich sąsiadów grozi utratą jakiegokolwiek części państwa, na której bezspornie nasz żywioł ma przewagę. Z drugiej zaś strony nie powinniśmy w tych czasach, w których przeciwieństwa rasowe i narodowe tak się zaostrzyły, obciążać naszej młodej ojczyzny elementami, których zachowanie się mogłoby wywołać niepokoje w państwie.

Polska zakreślona granicami proponowanemi na mapie miałaby około 38 milionów mieszkańców, w tem byłoby około siedmiu dziesiątych części Polaków, zaś przeszło trzy dziesiąte innych narodowości. Byłby to od początku kraj ludny i polski. Nie trzeba zaś zapominać, że po wojnie jeszcze ten stosunek może się na korzyść polską poprawić; wszak tęskni do powrotu do kraju kilka milionów Polaków w Ameryce, wszak dłuższy czas po wojnie nie może być mowy o masowej emigracyi, natomiast nadmiar ludności musi zajmować tereny nadające się i przeznaczone ustawowo do roz-

działu i uprawy; siła rozrodcza naszego narodu też może tu rolę odegrać — słowem, możemy być po pewnym czasie znacznie jeszcze silniejsi etnograficznie niż jesteśmy obecnie. Dać nam tylko lat kilka swobodnego rozwoju, dać mądry rząd i potężną armię, a otworzą się przed nami cudowne nadzieje, by w granicach podanych na mapie Komitetu, Polska mogłaby rozwinąć się na kraj silny, bogaty i szczęśliwy!

NIECO O WIELKIEJ POLITYCE.

Mapę Polski przedłożył Komitet konferencyi pokojowej; jest ona przedmiotem rozważań i dociekań, cały sztab obcych geografów bada jej podstawy. Wysilają się politycy wielkich państw, by ułożeniem granic Polski zabezpieczyć własne interesy; snują piekielne intrygi i prowadzą otwartą lub krytą walkę wszyscy wrogowie, zarówno zewnątrzni jak i wewnętrzni. Równocześnie w Komitecie przygotowywać się musi wszelkie argumenty, by obronić własne stanowisko, wyjaśnić i uzasadnić szczegóły mapy i odeprzeć zarzuty przeciw niej podnoszone; musi się reagować na głosy prasy lub też z swej strony dawać komunikaty prasowe. Zaczęła się walka, w której zarysowują się dość jasno stosunki przyjaźne, wzajemne interesy i przeciwieństwa między mocarstwami oraz między Polską a krajami bliższymi i dalszymi.

Nie jestem politykiem, to też trudno mi tutaj przedstawiać stosunki wielkich mocarstw do naszej ojczyzny; niemam też pod tym względem danych od polityków z Komitetu, którzy, rzecz naturalna, tak ważne i delikatne sprawy trzymają w ścisłej tajemnicy;

to więc co powiem o wielkich mocarstwach opieram na pewnych, obecnie i dawniej zauważonych faktach i własnych wrażeniach; nie jest to zaś wcale wyrazem opinii kół politycznych polskich w Paryżu.

Z Francją stosunki nasze są wyborne, oparte na szczerej przyjaźni. Mam wrażenie, że łączy nas nie tylko wspólność interesów, nie tylko to, że Polska wraz z Francją stanowić będzie potężny zespół ważący bardzo na szali stosunków europejskich; nie jest też jedyną przyczyną francuskiej przyjaźni to, że Polska może być znakomitym terenem dla obrotów kapitałem francuskim, dla ekspansyi handlu i przemysłu francuskiego. Przyczyna leży jeszcze głębiej, w samej naturze narodów i ich właściwościach duchowych. Umysł Francuza lotny, śmiały, pomysłowy i bystry, snujący z niezmierną łatwością, ale i ściśle logicznie bardzo śmiałe wnioski, dostrzegający drobne różnice zjawisk lub pojęć i wysnuwający z nich bardzo ogólne prawidła, nieraz z prawdziwie proroczą doskonałością — ten umysł wiecznie młody i świeży, wiecznie tęskniący do kwiata nowości, mający cześć pogody ducha — to doprawdy prawie zupełnie to samo co umysł Polaka. Różnica jednak, i to bardzo wielka, zaznacza się w stosowaniu tego umysłu do życia, a zwłaszcza do spraw państwowych. Francuz pracuje tak niesłychanie pilnie i usilnie, że doprawdy niewiem, czy jest drugi naród, któryby tak pracować potrafił; może tylko chińska wytrwałość dałaby się z tym typem pracy porównać. Dzień za dniem, bez wytchnienia, przejęty ideą albo nałożonego czy dobrowolnie na siebie przyjętego obo-

wiązku, albo też realnego czy idealnego interesu, Francuz idzie do pracy wesoło, z ochotą i pracuje skutecznie. Chwila zapału, chwila konieczności wyęczenia wszelkich sił, to moment, w którym się zdwaja pracę; lecz po tym momencie niema wyczerpania, jest tylko powrót do zwykłej pracy, która jest normalnym objawem życia, a nie jest uważana za poświęcenie lub wyjątkową zasługę.

W stosunku do państwa, Francuz układa swój interes i własną korzyść w bardzo prosty i jasny sposób. „Musi mi być dobrze, musi być dobrze wszystkim współobywatelom — to będzie dobrze i państwu. Trzeba coś poświęcić; dobrze, poświęci się, ale pod warunkiem, że to się nam opłaci. Trzeba zrezygnować na jakiś czas z wielu dogodności życia — jeśli to konieczne, zrezygnuje się, bo to operacya, którą się robi w dobrze zrozumianym celu! Kto ten cel oznaczy? Na to mamy posłów i rząd od nas zależny — oni niech to robią, my idziemy jako pracownicy codzienni. Jeśli nam się nie spodoba to, co oni czynią, to wybierzemy innych. Prawa kontroli się nie zrzekamy, ale chcemy mieć ład i porządek w kraju“!

Nie chcę przeprowadzać porównania naszego umysłu, naszej pracowitości i poczucia obowiązku z zaletami francuskimi; powiem krótko, że Francuz ma za sobą około stu pięćdziesięciu lat kultury państwa wolnego i swobodnego, a my ten sam prawie czas przeżyliśmy w niewoli. Francya swobodnie przeszła ewolucyę duchowych właściwości i wyłoniła z siebie narodową świadomość obowiązków prywatnych, społecznych i państwo-

wych; nas w tym samym czasie demoralizowano na trzy sposoby, a pojęcia prawa, państwa i rządu, a nawet pojęcie ustaw obowiązujących, były nam narzucone, z góry uznane za wrogie, z góry skazane na opór. Byłby i u nas pewno inny duch się rozwinął, gdyby nie lata niewoli. Teraz więc Francya ze swemi zaletami to jakby nasz starszy i doświadczeńszy brat, ale w istocie o braterskiem pokrewieństwie ducha.

Jest nam więc Francya bardzo przyjazną. Prawda, że wiadomości o nas były skąpe i dopiero wojna nauczyła myśleć o nas; prawda i to, że mimo sympatyj dla Polski, Francuzom bardzo trudno przychodzi pogodzić się z myślą rozłąki na zawsze z Rosyą, do której tyle nadziei przywiązywano; prawdą też jest, że prasa francuska, naogół wcale przychylna Polsce, musi być stale informowana, a nawet trzeba pilnować, by podane informacye należący i prawdziwie użytkowały^{*)}, — jednak i to jest też faktem, że kierunku głębokiej sympatyj dla Polski nie zmieniają nawet intrygi Czechów, Żydów i Rusinów, którzy wszelkimi środkami starają się nam zaszkodzić.

Interesy Włoch luźniej z naszymi się splotły niż francuskie; podobieństwa natury polskiej i włoskiej

*) Jak trudno nieraz poinformować prasę tak, by być pewnym, że pomyłki nie będzie, tego dowodem mały fakt: po polskiem „ex-posé” umieszczono portrety polskich polityków w pismach codziennych; w dwóch z nich figurował konterfekt p. Erazma Piltza z podpisem: „Monsieur R. Dmowski”, ku wielkiej ucieście polskiej kolonii, wiedzącej, że, pod względem fizycznym p. Piltz jest kontrastem p. Dmowskiego.

mniejsze niż w stosunku do Francji; jedynie tylko sympatya dla kultury włoskiej, tej matki naszego rozwoju duchowego — u nas, a sympatya do naszego narodu — u Włochów, łączą nas nieco ściślej. Jest jeden jeszcze motyw zapewniający nam sympatye. Wiadomo dobrze, że Włosi są w pewnym konflikcie z Jugosławią; Czesi rozwinęli program polityczny i ekonomiczny na tej podstawie, że złączą się z południową słowiańszczyzną i obejmą Adryatyk w sferę swych interesów państwowych. Wiadomo też doskonale, że jeszcze przed wojną Czesi mieli na Adryatyku placówki, n. p. na wyspie Veglia, z razu jako lotniska, potem jako centra działania. Mamy więc z Włochami wspólnego konkurenta, a nie są nim Jugosłowianie lecz Czesi z swą zaborczą polityką i chęcią ekonomicznego ujarzmnienia wszystkich Słowian.

Na zupełnie innych podstawach są oparte stosunki z Ameryką, a raczej z Stanami Zjednoczonymi Ameryki północnej. Mówić o sympatyi lub antypatyi, o wspólności idei czy wspomnieniach historycznych, w tym wypadku trudno. Stany Zjednoczone prowadzą politykę światową, której sieć zbyt zawiła, by ją jednym słowem dało się określić. Osobiste moje wrażenie z zetknięcia się z politykami amerykańskimi było przedewszystkiem to, że są to ludzie tak niesłychanie ostrożni, tak rachujący się z wszelkimi możliwościami, a przedewszystkiem tak dbający o interes własnego narodu, że nie tylko nakłonić ich do zmiany raz obranej polityki, ale nawet dowiedzieć się o tem, co właściwie zamierzają, jest rzeczą niezmiernie trudną. W ocenie sytuacji europejskiej Stany Zjednoczone muszą się kierować bardzo

różnymi względami; najpierw muszą one uważać Europę, jako miejsce zbytu dla produktów rolnych i przemysłowych; nie są im więc zbyt mili silni konkurenci w jednym lub drugim zakresie, lecz z drugiej strony nie jest im miła wojna, która utrudnia zbyt. Dążyć więc muszą do stworzenia równowagi w Europie, wiedząc, że jej osiągnąć się nie da bez zadowolenia sprawiedliwych wymagań i państwowych konieczności wszystkich krajów, lecz równocześnie pragną tak stosunki ułożyć, by na dłuższy czas światowa konkurencja Europy była zmniejszona; stąd ostrożność w ocenie najmniejszych nawet szczegółów.

Poza tem u kierujących kół amerykańskich da się zauważyć pewna doza idealizmu, niezawsze podobnego do idealizmu europejskiego. Społeczeństwo Stanów Zjednoczonych jest pod wielkim wpływem pewnych wierzeń i zasad głoszonych przez Kościół protestancki, zwłaszcza przez Metodystów. Ci, dość surowi moraliści, nie lubią katolicyzmu; czasem zbyt wybitnie katolickie, lub nawet z pozorami klerykalizmu rozwijające się instytucje europejskie budzą pewną nieufność u Amerykanów; narody katolickie mniej też budzą sympatii u nich. Przekonałem się o tem jako delegat K. B. K.; wszyscy z którymi mówiłem, zwracali mi uwagę na to, że dla sprawy K. B. K. lepiej będzie, jeśli się firmy biskupiej nie będzie zanadto wysuwało, bo to „razi“. Nie wiem jednak, czy tego sądu nie przypisać trochę także wpływowi żydów amerykańskich, których bardziej „razi“ katolicyzm niż metodystów.

Obok spraw Europy wiążących się z polityką

Ameryki, na pierwszy plan, lecz całkiem pocichu wysuwa się kwestya unormowania stosunku Stanów Zjednoczonych do Rasy Żółtej, zwłaszcza do Japonii. Sprawa panowania na Oceanie Spokojnym, Filipiny i Hawai, te zapory do Polynezyi a zwłaszcza do wysp sundajskich, wpływ na handel z niezmiernymi obszarami Azji środkowej, to wszystko zależy od tego, czy Europa będzie mogła w danym razie wystąpić wraz z Ameryką jako zwarta siła. Niedobrze więc robić sobie zanadto zdecydowanych wrogów, niedobrze osłabiać tych, którzy siły dość dużo pokazali.

W polityce Stanów Zjednoczonych musi więc decydować spokojny wybór tego, co się w danych warunkach uzna za najlepsze. Nie sympatye rozstrzygają, lecz antypatya i niechęć też nie rządzi. Jeśli zaś wziąć pod uwagę zalety osobiste i stanowisko Amerykanów, to można śmiało powiedzieć, że do Polski odnoszą się oni naogół z sympatją, czasem nawet z wybitną. Nie trzeba też zapominać, że nie komu innemu, lecz Ameryce zawdzięczamy ten 13-ty punkt prezydenta Wilsona, który nas oficjalnie do nowego życia powołał.

Podobne uwagi odnoszą się też i do Anglii, która, z europejskich państw, prowadzi politykę światową w największym zakresie. Jeśli Amerykanie są ostrożni w wypowiedaniu sądów i decyzjach, to Anglicy posuwają aż do przesady wszystkie środki, którymi starają się zapobiedz, by nic z ich planów i zamiarów lub nawet opinii nie doszło za wczas do publicznej wiadomości. Dość powiedzieć, że na to, aby któryś z pracowników angielskich biur kongresowych mógł pójść na śniadanie lub porozmawiać

z znajomym obcokrajowcem, musi on mieć pozwolenie nie tylko bezpośredniego kierownika danego działu, lecz często najwyższych i kierujących polityków, którzy zresztą nierzadko takiego pozwolenia odmawiają. Wieści o polityce i usposobieniu Anglii nie łatwo więc zebrać; dlatego też wszelkie wiadomości odnoszące się do tego kraju i jego polityki należy brać z wielkiem zastrzeżeniem, bo prasa częściej tylko o nich wnioskuje, niż je zna naprawdę.

Anglia miała od wieków politykę dość łatwo się dającą streścić: występowała zawsze przeciw najsilniejszemu z państw kontynentalnych, bo wiedziała dobrze, że tylko najsilniejsze może być jej konkurentem i zagrażać jej bezpośrednio w sprawach rządów na szerokim świecie. Najdogodniejsza sytuacja dla tego kraju, to taki układ sił na kontynencie, w którym niema stanowczej i wybitnej przewagi jednego mocarstwa lub jednej, zwartej grupy mocarstw. Rzecz prosta, że idąc za tą ideą, trzeba przypuścić, iż zupełne osłabienie Niemiec, a równocześnie stworzenie silnego sojuszu państw po obu ich stronach leżących, nie schodzi się z interesami Anglii, przynajmniej z jej interesami w bieżącej chwili. Stąd ma podobno pochodzić to pozorne „kokietowanie Niemiec“, jak się o tem wyraża prasa francuska. Czy to jednak jest jedyna linia wytyczna polityki angielskiej? Czy tam niema jeszcze innych pomysłów obliczonych na późniejszy wielki sojusz przeciw niebezpieczeństwom z dalekiego wschodu płynącym? Trudno to dzisiaj ocenić, tem więcej, że jak już mówiłem, niesłuchanie nieprzenikliwi są więksi i mniejsi politycy angielscy. Ocenic

też należycie i prawdziwie stosunek Anglii do Polski prawie niepodobna; mam jednak wrażenie, że ten stosunek nie normuje się niczem innym jak tylko względami na własną korzyść; byłoby rzeczą naszych polityków, także i wewnątrz kraju udowodnić czynami i uchwałami że Polska ma dla Europy istotnie wartość realną.

Wieczny i nieprzenikniony uśmiech na twarzach dyplomatycznych zastępców Japonii, to symbol jej polityki, zimnej, grzecznej, zmierzającej pozornie niewiadomo dokąd. Znam zdanie starego mędrca, jednego z ojców mądrości Wschodu, Konfucjusza: „Nie wywieraj na twym wrogu całej potęgi złego, do jakiej jesteś zdolny, bo nie wiesz czy on nie stanie się twym przyjacielem“. To zdanie, to jedna z podstaw myśli politycznej kraju wschodzącego słońca. Kto zaś może być wrogiem Japonii, to nie trudno da się ocenić. Na te raz i w tej wojnie wrogiem jest Niemiec, ofiarą zaś daleki wschód Rosyi; na stałe i na dalszą metę wrogowie być mogą inni.

Z czasów mego pobytu w Indjach, na Ceylonie i na Jawie pamiętam parę zdarzeń, które mi jasno utkwiły w myśli i już wówczas zwróciły uwagę na splątanie interesów Japonii z interesami państw europejskich. W roku 1908 był czas, kiedy Chiny ogłosiły bojkot towarów japońskich i wogóle Japończyków; w kolonii chińskiej na Jawie, liczącej kilka milionów, nie kupowano niczego od firm japońskich, kiedy zaś przyjechała w odwiedziny do Batawii flota japońska, to, pół-chińskie miasto nie powitało wcale pobratymców, nie urządziło przyjęcia i zdało się wymarłe. Ale w kilka dni po tej wizycie

zaczął się obchód Nowego Roku chińskiego; urządzono pochody z grupami alegorycznymi i między temi grupami był symbol Japonii: Mikado druzgocący żołnierza o białej twarzy, symbol oswobodziciela Azji od rządów białej rasy! Mimo bojkotu patrzono na Japonię jak na zbawcę, który w całej Azji rzucił hasło: „A z y a dla A z y a t ó w!” Wiem dobrze, że takie same manifestacje odbywały się w Kantonie i wielu innych chińskich miastach.

Na Ceylonie zawarłem znajomość z jednym z wybitnych Syngalezów, człowiekiem wykształconym, mówiącym kilku europejskimi językami, gorącym patryotą, marzącym o swobodzie swego ludu; były u niego w domu podarki i fotografie najwybitniejszych polityków i wodzów japońskich, związanych z nim węzłem przyjaźni i wspólną myślą polityczną. W Indyach w budyjskim klasztorze widziałem mnicha japońskiego, w żółtej todze; nie dałbym dwóch groszy za to, że to nie był oficer japoński, tak mi na mnicha nie wyglądał! Mały Japończyk wciska się wszędzie do wielkich Indyi!

Warto też wspomnieć o tem, że Japonia zaczęła już robić konkurencyę handlowi i przemysłowi przewozowemu europejskiemu. Założono wyborną linię transportową o pysznych statkach, czystych, świetnie obsłużonych: Nippon — Youssen — Kaisha, kursujących szybko i bardzo regularnie między Japonią a Marsylią. Cena przewozu tymi statkami była prawie o połowę niższa niż na innych liniach; od chwili jej założenia statki austriackiego Lloyd'a zaczęły jeździć za ledwie z połową ładunku. Tę linię jednak zakupił... Nord-

deutscher Lloyd! — a więc nie P. and O. (Peninsular and Oriental Company — największa linia angielska), ani nie Messageries Maritimes, tylko przedsiębiorstwo niemieckie!

Japonia dobrze zdawała sobie sprawę z ruchliwości Niemiec i ich tendencji do osadzenia się w Chinach; wiedziała doskonale o oficerach niemieckich, którzy przewędrowali Chiny na wskrós, (n. p. Genschow), porobili mapy i zbadali złoża płodów naturalnych; widziała ona, że Kiau-Czau, to maleńka ale kwitnąca placówka germańskiej penetracji na daleki Wschód. Przystępując do wojny, Japonia zabiła Niemcy na wschodzie, zabiła tego embryona kolonizacji Chin, który mógł urósć niespodziewanie prędko w olbrzyma. Zajęła równocześnie Karoliny, już ku wyspom Polinezyi sięgając; weszła w skład tych państw, które się skupiają koło źródła największych bogactw świata, koło południowo-wschodniej Azji i koło Oceanu Spokojnego. Przyłączenie się do Koalicyi, to odrazu zdobycz potężna dla Japonii.

Ale niszcząc Niemcy na wschodzie, Japonia zdaje sobie dobrze sprawę z tego, że są inni, potężniejsi jej konkurenci: Anglia, ta wyspiarska potęga z drugiej strony ładu eurazyatyckiego, z którego najbogatsze części zajęła; Ameryka, która ma Filipiny i zagradza drogę do bogactw archipelagu Sundajskiego, zamieszkałego przez rasę niezupełnie obcą pierwiastkom mongolskim. Przeciwwaga ich potędze, zaszachowanie z bliska czy z dalsza tych dwóch mocarstw przez pozostawienie germańskiego konkurenta, to przecież nie byłoby bez korzyści dla Wschodniej militarnej potęgi. Jest też w Ja-

ponii pewien kult dla nauki i kultury niemieckiej; bardzo wielu studentów japońskich, zwłaszcza medyków, uczyło się w Niemczech; do niedawna był dość liczny zastęp profesorów niemieckich na uniwersytetach japońskich. To wszystko razem wzięte sprawia, że Japonia, która bezwzględnie zniszczyła ślad osadzenia się Niemiec na Wschodzie, zda się nie dążyć do ich zupełnego pogromu w Europie; z tego jasna konsekwencja dla Polski!

To co o Japonii powiedziałem, to wnioski, które mi się nasuwały na podstawie pewnych faktów i biegu obrad paryskich; nie mam na ich poparcie bezpośrednich wiadomości z źródeł dyplomatycznych. Te wiadomości byłoby zresztą trudno zebrać, wszak powiedział Konfucyusz: „Nie powierzaj przyjacielowi wszystkich tajemnic, bo nie wiesz, czy on się nie stanie twym wrogiem!”

Poza politykami z pięciu mocarstw jest w Paryżu cała gromada innych, których działalność nie pozostaje bez wpływu na tok obrad. Pan Venizelos z Grecyi, uznany powszechnie za jedną z najtęższych głów politycznych dba o interesy Lewantyńców; panowie Izwolski i Sazonow, choć bez kraju, który mogliby reprezentować, bo Rosya w grę nie wchodzi, biorą czynny udział w polityce i szkodzą Polsce gdzie tylko mogą, wysilając się na pomysły z wprawą starych i wybornych graczy politycznych; wielu, wielu innych działa, dyskutuje, bierze udział w Komisyjach, przygotowuje materiały, lub „urabia opinię”. Przez tych zakulisowych pracowników, nieznanym szerszemu ogółowi z nazwiska, rozstrzygają się

nieraz bardzo ważne sprawy; przez nich też działają najwięksi nasi wrogowie.

Naszym głównym wrogiem jest Niemiec. Zdałoby się mogło, że niemieckie wpływy nie mogą być wielkie, wobec tego, że jest to naród pokonany, a obrady pokojowe toczą się w sercu Francyi. Tak, to prawda, że klęska Niemców jest straszliwa; o jej rozmiarach można nabrać pojęcia dopiero na Zachodzie; z pewnością też wpływy niemieckie są mniejsze niż przed wojną, ale jednak są one bardzo silne. Wiele banków amerykańskich i angielskich jest bezpośrednio związanych z kapitałem niemieckim, liczne przedsiębiorstwa w tych krajach opierają się albo o kapitał albo o przemysł niemiecki, a wreszcie istnieje cała sieć agentów i sympatyków, zyskiwanych wszelkimi sposobami. Niemiec, choć straszliwie pobity, czai się i wciska wszędzie sam lub przez pośredników; głównymi, szczerze i gorąco pracującymi jego pośrednikami i rzeźnikami są żydzi; sojusz semicko-germański najwięcej nam szkody przynosi.

Nie należy, co prawda, przeceniać znaczenia żydów i ich potęgi; oni nie są czynnikiem, który mógłby decydować; ale jeśli tylko sprawa nasza się chwieje, jeśli można ją podkopać, to oni są pierwsi, którzy pchną ją gotowi do upadku. Jedną z ich metod, to rozsiewanie fałszywych wieści o Polsce; a więc „lansuje się“ wiadomości o pogromach i anarchii w Polsce, o przyjaznem usposobieniu do mocarstw centralnych, o bezsilności polskiego państwa, o objawach bolszewizmu — wszystko to na to, aby zdyskretować Polskę w opinii narodów.

Pomagają Żydom Ukraińcy i Czesi; pierwsi z nich agituja za niemieckie pieniądze. Rzecz prosta, że wielka polityka światowa idzie swoim torem i żydzi jeszcze jej dziś nie opanowali, ale nasza sprawa, która jest tylko małą częścią ogólnej polityki, może cierpieć i cierpi od tylu ataków.

Dlaczego żydzi są nam tak przeciwni, to pytanie, na które trudno odpowiedzieć. Nie gra tu z pewnością roli nienawiść religijna i ideowa; małą rolę może odgrywać nienawiść tego narodu, który nie ma i nie chce mieć ojczyzny (wiadomo, że żydzi oświadczyli, iż nie chcą mieć samodzielnej Palestyny), do narodu o gorącym poczuciu patryotycznym. Dużą rolę w ewolucji nienawiści żydowskiej do nas przypisałbym czysto materialnym pobudkom: żydzi w Polsce bogacą się, zaczynają mieć coraz większe osobiste potrzeby i dążą do coraz dalszego bogacenia się; tymczasem rozwój państwa polskiego, który musi doprowadzić do tego, że będziemy sami produkowali i bez pośredników kupowali, podcina nadzieje dalszego wycisku naszej ludności przez żydów. Życie i rozwój naszej ojczyzny to upadek żydowskiego systemu wyciągania dochodów z naszej ludności; stąd źródło nienawiści, tak wielkiej i tak bezwzględnej, do jakiej tylko naród wschodni, nie europejski jest zdolny.

Powszechnie wymieniają tutaj jeszcze jeden czynnik nam nieprzyjazny, a mianowicie — Massonów. Przyznam się otwarcie, że jadąc do Paryża sądziłem, że o massonach czyli wolnomularzach są tylko legendy; na miejscu przekonałem się że tak nie jest. Jeden z ludzi dobrze

znających stosunki francuskiej massoneryi objaśnił mię, że dzisiaj jest to stowarzyszenie niesłychanie karne, które ma na celu — korzyść osobistą. Środkiem do tej korzyści jest objęcie władzy przez wprowadzanie zaufanych ludzi na kierujące stanowiska, zapewnienie sobie wpływu na politykę i t. p. Podobno wolnomularze angielscy, a także i amerykańscy są nieprzychylnie usposobieni dla Polski. Może być, że jest w tem odbicie pewnych różnic ideowych między nami a massoneryą. My jesteśmy idealisci; społeczeństwo nasze wychowane w duchu chrześcijańskim a nawet katolickim, ma często ideę jako czynnik realny, za którym idą czyny. Massonerya ma dziś korzyść jako cel, nie ideę tak jak dawniej; nie zna poświęceń, zna tylko walkę. Dziwnie jej pojęcia zgadzają się z niemi przewodniami żydowskiego poglądu na świat i stosunek ludzi do ludzi. Pono żydzi w niektórych krajach dużą rolę między massonami odgrywają; podobno też Czesi, których wybitni mężowie stanu, jak słuchy chodzą, mają z massonami blizkie stosunki, swą, czeską walkę husytyzmu z katolicyzmem przedstawiają jako zaletę, w przeciwieństwie do zdecydowanie katolickiego naszego ducha. Te wieści o massonach, które mnie dochodziły świadczyłyby tylko o tem, że to w istocie jest czynnik zakulisowy dużej mocy; czy jest bardzo potężny, tego ocenić nie potrafię, bo wogóle moje wiadomości o tej organizacyi są nieliczne i dość dorywczo zebrane.

Jeśli mówimy o siłach działających na korzyść lub szkodę naszej sprawy, to ich obraz byłby niezupełny,

gdybyśmy nie wspomnieli choć słówkiem o tem, jaki wpływ mają stosunki u nas w kraju panujące na to, co o nas postanowi kongres pokojowy.

Kiedy po przyjeździe do Paryża po raz pierwszy zetknąłem się z Francuzami, mymi dawnymi przyjaciółmi, to pierwsze ich pytanie było: „No cóż, czy u was jest i będzie spokój w kraju? Czy partye się pogodzą? Czy macie siłę i zwartość? Czy się potraficie zorganizować?” Takie pytania zadawała w styczniu 1919 cała prasa francuska i angielska, zaniepokojona tym rozłamem między rządem a narodem, jaki panował za czasów ministerium p. Moraczewskiego i doskonale wiedząca, że ono nie jest wyrazem woli całego społeczeństwa, lecz uzurpatorem władzy. Wątpliwości co do naszej zdolności do rządzenia sobą i do zjednoczenia się podtrzymywali w prasie Czesi, stale wysuwający „idealnie spokojne i pewne” stosunki ułożone w ich nowem państwie, jako kontrast do naszej „anarchii”. Rządy ministerium Paderewskiego, porozumienie między Komite-tem paryskim a misją przysłaną przez Naczelnika Piłsudskiego, która zrazu chciała iść osobnemi drogami, wreszcie wieści od różnych misji koalicyjnych, wysyłanych do kraju — to wszystko wpłynęło bardzo dodatnio na nasze stanowisko wobec mocarstw koalicyi, ale nie mogło zmienić faktu, że straciło się całe dwa miesiące czasu, podczas których były wyborne momenty do wyzyskania sytuacji politycznej na korzyść naszej sprawy.

Mam wrażenie, że ludzie, którzy naszą wewnętrzną polityką się zajmują, którzy projekty społeczne czy

agrarne starają się budować i w czyn wprowadzać, nie zdają sobie sprawy z tego, że określenie granic naszej ojczyzny i nasze wewnętrzne stosunki, to rzeczy jak najściślej związane z sobą. Czyż można przypuszczać, że danoby szerokie granice państwu, którego gospodarka wewnętrzna prowadziłaby do głodu i zamieszek? A przecież jeśli takie projekty, jak n. p. obecny projekt reformy agrarnej, postanawiający maximum posiadania wielkości 100 morgów, przeszłyby w istocie; jeśli wskutek tego jedna klasa ludności podniosłaby nieproporcjonalnie stopę życia, a obniżyłaby się równocześnie ilość produktów przeznaczonych na zbyt; jeśli by, co za tem idzie, robotnicy, centra przemysłowe i miasta stanęły przed widmem głodu, bo nie byłoby czego kupować — to naprawdę Polska straciłaby wartość jako państwo, na którego siłę możnaby liczyć. Konsekwencją tego byłoby zwrócenie się do silniejszych i rozumniejszych sąsiadów; tem pewniej zaś to musiałoby nastąpić, że Polskę źle gospodarującą uważanoby także za złego płatnika, któremu nie można powierzać kapitałów.

Nie bez ogromnego wpływu na bieg naszej sprawy jest też stan i działalność naszej armii. Ten stan, który dzisiaj panuje, to, że armia jest w całości przejęta duchem narodowym, duchem obrony kresów, że walczy bohatersko z przemożnymi wrogami na trzech frontach, mimo trudności i różnych braków — to jeden z atutów naszych w polityce zagranicznej. Wszelkie próby wicherzenia w armii, próby używania jej do celów partyjnych lub zamachów — to zdrada sprawy polskiej, bo to się odrazu odbija głośnie echem na kongresie

pokojuwym i jest wyzyskane na naszą niekorzyść przez naszych wrogów. Im silniejszą nasza armia się pokaże, im dalej przesunie swe fronty, tem więcej mamy nadziei uzyskania rozległej ojczyzny!

Plagą, dużo szkody nam przynoszącą, są różni domorośli politycy, puszczający wodze fantazyi lub snujący kombinacye na podstawie niepewnych wieści a bałamucący przytem opinię publiczną. Ulubionym tematem jest „życzliwość lub nieżyczliwość“ tego lub owego państwa, puszczanie wieści o armii i wszelkie senszacye polityczne. Sam nie jestem politykiem, lecz jako przyrodnik widzę, że mówienie o życzliwości czy jej kontraście wówczas, kiedy chodzi tylko o interesy narodów i o grę polityczną, niema wielkiej racyi. Najgorszem złem, stale uprawianem przez prasę stojącą pod wpływem wrogich Polsce żywiołów, jest to, że stanowisko pewnych mocarstw przedstawia się jako „nieżyczliwe“ i wysnuwa się wnioski, że cała koalicya jest nam „nieżyczliwa“, a Komitet paryski, jako „trzymający z Koaalicją“ przynosi nam tylko szkodę! Nie wiem, czy trzeba wielu argumentów, by udowodnić jak wielką dla nas korzyścią jest to, że los szczęśliwy złączył nas z Koaalicją; jeśli mamy możność walki o swoje prawa i własnych zastępców na kongresie pokojowym, to tylko dlatego, że zerwaliśmy związek z mocarstwami centralnemi. Jeśli Koalicya występowała jednolicie przeciw Niemcom, to nie znaczy jeszcze, że wszystkie mocarstwa w jej skład wchodzące mają te same interesy; sprawa polska dla różnych mocarstw różne ma znaczenie, jak to już powyżej powiedziałem, jej sposób roz-

strzygnięcia często może być znamię siły wpływów danego państwa; w takiej grze nie ma miejsca na sympatie, a trzeba dodać, że i nasi politycy pilnują przede wszystkim naszych interesów.

Jest to już znamię naszej umysłowości, że często sprawy zupełnie realne chcemy rozstrzygać uczuciem. Robi się zarzut Komitetowi paryskiemu że on niedość odczuwa nasze bóle, że losy Lwowa czy Cieszyna traktuje za zimno. Niezawodnie, wielka odległość zmniejsza grozę; my cierpimy więcej i odczuwamy silniej, będąc blisko terenów gdzie panuje smutek i walka, aniżeli ci, co w Paryżu są rzecznikami naszych bólów i praw. Ale tak może jest lepiej! Kto odczuwa i cierpi, tego wytrzymałość jest wystawiona na straszną próbę i ten gotów daleko łatwiej zgodzić się na ustępstwa, byle tylko nie cierpieć; ci dalsi, odsunięci od bezpośredniego zetknięcia się z tragizmem położenia — sądzą i targują się spokojniej o nasze prawa. W tym wielkim wirze światowych walk politycznych nasza sprawa, która tu, blisko, tak bardzo nas boli, nabiera cech jednego z aktów, czy epizodów układania porządku na szerokim świecie; z konieczności musi się ją traktować w związku z całością wielkiej polityki, o której tutaj, odcięci i oddaleni, niewiele mamy pojęcia, zwłaszcza dlatego, że przeważną część wieści o sprawach kongresu otrzymujemy za pośrednictwem agencji niemieckich.

Ja osobiście mam to wrażenie, że ci, którzy nas bronią, ten Komitet, w którym teraz są przedstawiciele wszelkich warstw i stronnictw, ta gromada fachowców

i uczonych naszych — ci wszyscy bojownicy na kongresie pokojowym wyteżają wszelkie siły, pracują z całą dobrą wolą i zrozumieniem spraw naszych i obcych; nie wątpię, że rezultat tych wielkich wysiłków da nam Polskę wielką i silną.

MIĘDZY OBCYMI.

Na wiosnę 1914 roku byłem w Paryżu w sprawach naukowych. Spotkałem się tam z licznym gronem dawnych znajomych, bądź to profesorów z Sorbonny, bądź też z Instytutu Pasteura i w swobodnej rozmowie poruszaliśmy kwestyę grożącą nam wojny. Mówiliśmy o tem, jakby o dalekiej możliwości, nie czując wcale, że tak prędko się z nią poznamy.

„Jak pan sądzi“, zapytał mię jeden z profesorów, „czy Austria da nam długo jeszcze żyć w pokoju?“

„Dlaczego pan mówi o Austrii?“ odrzekłem, „mojem zdaniem jest w Europie jeden kraj, który stanowi stałe i trwałe niebezpieczeństwo dla pokoju...“

„Pan pewno myśli, że to Rosya!“ przerwał francuz“.

„Nie“, odpowiedziałem, „to Prusy! Panowie nie macie pojęcia do jakiego stopnia intryg Niemcy są zdolni; oni napewno wciągną Austryę do najgorszych awantur. Nie znając ich zblizka, nie możecie mieć też wyobrażenia do jak strasznego barbarzyństwa oni mogą się posunąć...“

Przyszła wojna, przez przeszło cztery lata byłem

zupełnie odcięty od mych przyjaciół; przyjechawszy do Paryża zaraz starałem się z nimi porozumieć i na szczęście znalazłem wszystkich w dobrym zdrowiu. Spotkałiśmy się wkrótce, a pierwsze słowa, które do mnie powiedziano, były: „Pamięta pan naszą rozmowę w 1914 roku? Nie wierzyliśmy panu wówczas, myśląc, że pan, jako Polak, ma sąd przesadny o Niemcach; — dziś wiemy ile w tem było racji...”

Ta moja, zupełnie przypadkowa, lecz szczerza rozmowa przedwojenna wyrobiła mi „markę” w Paryżu; gdziekolwiek poszedłem byłem przyjmowany jako przyjaciel Francji, tem więcej, że jako delegat Uniwersytetu, wiozłem zaszczytne odznaczenia dla polityków koalicyjnych.

Wprowadzono mię odrazu do powstałego w czasie wojny klubu, zwanego „Rapprochement universitaire”, w którym zbierają się profesorowie uniwersytetów i Collège de France oraz członkowie Akademii. Klub ten mieści się czasowo w „Kółku Księgarzy” przy Boulv. St. Germain i zbiera się co wtorek na posiedzenie, trwające dwie godziny, na którem jest zawsze jakaś pogadanka i dyskusya ogólna, a poza tem jest to moment swobodnej rozmowy i dana jest możność zapoznania się z kolegami. Jest tendencją tego klubu, aby teraz, w czasie kongresu zgromadzić także wszystkich profesorów uniwersytetów zagranicznych, bawiących w Paryżu i o ile możności dać im możność wypowiedzenia się o potrzebach i dążeniach ich ojczyzny.

Między wieloma Kolegami poznałem tam także prof. Georgevitscha z Belgradu, zoologa, który przyje-

chał w sprawach Serbii i Jugosławii do Paryża; zbliżyłem się do niego w chwili, kiedy pokazywał fotografie objaśniające rządy Austryaków w Serbii. Były to grozą przejmujące dokumenty! Na jednej fotografii widać długi szereg szubienic (około 20-tu), obwieszonych ofiarami; koło nich w rowie leżą zwłoki skazańców już straconych, a obok stoi kilku żołnierzy węgierskich, uśmiechających się dobrodusznie i drapieżnie zarazem. Na innej fotografii była uwieczniona chwila trwania matki i dwóch synów; inny znów dokument pokazywał wymordowane kobiety i dzieci — słowem, szereg dowodów bezgranicznego barbarzyństwa. W ogólnej rozmowie, jaka się toczyła, wspomniałem o tych dziesiątkach tysięcy wymordowanych w Galicyi za wyrokami sądów polowych lub wogóle bez wyroków; nie chciano prawie wierzyć aby to było możliwe, żeby w kraju, stanowiącym wówczas jeszcze część własnego państwa, można było postępować tak, jakby kulturalne państwo nie powinno postępować nawet w kraju nieprzyjacielskim! A jednak to taka straszna prawda!

Do tego klubu wprowadziłem kilku moich kolegów; uczęszczaliśmy do niego z wielką przyjemnością, a była to także sposobność pomówienia o Polsce z fachowcami, należącymi jako rzeczoznawcy do różnych biur kongresowych. Przewodniczącym klubu był prof. Larnaude, dziekan wydziału prawniczego w Sorbonnie, a równocześnie przewodniczący komisji dla sprawy odpowiedzialności za wojnę; on to wywiódł, na podstawie prawa karnego i międzynarodowego, że byłego cesarza Wilhelma II. można ścigać sądownie, jako odpo-

wiedzialnego za wojnę i sposób jej prowadzenia. Wielu bardzo miłych uczonych, przeważnie przychylnych Polsce, można tam było poznać; byli jednak i tacy, którzy do nas odnosili się naogół nieprzychylnie, lub też faworyzowali tylko Czechów; znaleźli się i wytrwali przyjaciele Rosyi a wreszcie żydzi, rozsiewający i tutaj okropne wieści o stosunkach w Polsce. Przypominam sobie, że po jednym z posiedzeń, kiedy właśnie rozmawiałem z kilku znajomymi francuzami przystąpił do mnie pan Majersohn filozofią się zajmujący, prywatny uczony z Lublina, który odrazu zaczął przeciw Polsce występować. Mówił, że tam są niemożliwe stosunki, że przeważa wielka własność, gniotąca chłopą, że przeciętna ferma szlachecka w lubelskiem ma około 2000 hektarów obszaru, co jest krzywdą dla ludzi i kraju, że komitet paryski to siedziba reakcyi, że musi się w Polsce przeprowadzić „reformy“ i t. p. Reagowałem dość ostro; p. M. potem gdzieś zniknął i już go potem nie widziałem na tych zgromadzeniach; wiem, że w Paryżu jest on jednym z znanych przywódców syonistycznych.

Jedną z pierwszych pogadanek, które w tym klubie uczonym usłyszałem był wykład p. Sylvain-Lévy, z Collège de France, przywódcy syonistów. Znajomi francuzi zachęcali mię do pójścia na tę prelekcję, tłumacząc mi, że p. S.-L. jest wprawdzie żydem, ale to człowiek o wyjątkowym umyśle i bystrości sądu a mówi wspaniale. W istocie jego wykład był to nieprzerwany potok niezmiernie sprytnie ułożonych i pomyślanych frazesów, wyrzuconych jednym tchem, bez akcentowania rzeczy silniejszych, z tą pewną „nonchalance“, jaka ce-

chuje człowieka niesłuchanie pewnego siebie. Ale co do treści to mogę tylko zauważyć, że jeszcze mi się nie zdarzyło wysłuchać mowy, któraby w frazesach zupełnie na pozór obojętnych mieściła tyle jadu, tyle zarodków waśni i niezgody, tak godziła w wszelkie sojusze, wszelkie idee twórcze i pokojowe — jak właśnie to przemówienie. Tytuł był niewinny: „Wrażenia z podróży po Palestynie“ — ciekawy z tego względu, że odnosił się do Palestyny świeżo odebranej Turkom, do tej, w której miało się zawiązywać nowe państwo żydowskie. Na samym wstępie p. S.-L. zauważył, że go to dość dziwnie uderzyło, iż w zdobytych terenach język angielski wypiera francuską mowę. To co się już ustaliło w Egipcie, t. j. przewaga angielszczyzny nad duchem Francyi, to idzie dalej, ku Palestynie. Oficerowie tureccy, którzy władali często językiem francuskim, dziś, z konieczności uczą się po angielsku — a szkoda, bo przecież Francya ma dość kultury, szkoda tych wpływów na całej Lewancie, — słowem płynęły frazesy zwracające uwagę na kontrowersye i wzmacniające posiew nienawiści między dwoma sojusznikami, frazesy może i zawierające jądro prawdy ale podane w formie drażniącej i jątrzącej. A po tym wstępie popłynął szereg paradoksów o władzy, kolonizacyi, ideach nowszych i dawniejszych, paradoksów burzących wiele ale nie budujących niczego. Wyszedł typ syonisty, który w parę tygodni później jasno oświadczył, że niechce państwa żydowskiego, bo to niewygodne; nie chce, aby żydzi mogli być uważani gdziekolwiek za obcokrajowców, a musiałoby to być, gdyby mieli własne

państwo; więc lepiej nie mieć ojczyzny, niż mieć życie niewygodne!

Osobne posiedzenie poświęcono sprawie Jugosławii. Czterech delegatów z Serbii, Kroacy i Sławonii oraz z słoweńskiej Karyntyi przedłożyło krótkie, dobrze ułożone referaty, potem artyści jugosłowiańscy wykonali kilka południowo-słowiańskich pieśni i utworów muzycznych na fortepian. Przed tem posiedzeniem przyszedł do mnie p. Larnaude, z prośbą, abym powiedział krótki referat o Polsce i jej stanowisku; zaskoczyło mię to żądanie tem więcej, że audytoryum było w tym dniu złożone z całego grona wybitnych ludzi mających stosunki z biurami Kongresu pokojowego, wielu z nich było otoczonych przez Czechów, starających się naszą sprawę przedstawić w własnem oświeceniu — słowem zdawałem sobie sprawę z tego, że niemożna niczego takiego powiedzieć, co by mogło podrażnić opozycję, co by mogło naszej sprawie zaszkodzić.

Zabrawszy głos, zaznaczyłem więc, że trudności jakie mamy podczas budowy nowego państwa są nie tylko natury technicznej lecz mają głęboką podstawę moralną; trzy zaborcze państwa starały się zdemoralizować nas rozmaitemi metodami: Prusy nie tylko brutalną siłą i podstępniemi prawami ale tem zwłaszcza, że starały się wszczepić w duszę polską przekonanie, iż niema wyższej kultury i wiedzy nad niemiecką; Rosya demoralizowała nie tylko tem, że twardą polityką gwałtu starała się zabić myśl polską, ale całem swem postępowaniem uczyła pogardy dla władzy i prawa, wszczepiała ducha anarchii i obojętności państwowej; a Austria, ta

znów starała się zrobić z nas dobrych Austryaków mówiących po polsku ! Lecz mimo tych trzech metod polityki, mimo całego ogromu intryg i podłości jakimi nas otaczano, od pierwszej chwili kiedy padły kordony graniczne, wstaliśmy jako naród o jednej duszy i wspólnych a jednakowych właściwościach. Mamy ogrom pracy przed sobą, lecz pracujemy i będziemy pracować w spokoju, bo niema u nas miejsca na bolszewickie przewroty, gdyż w naturze naszej tkwi poczucie praw prywatnej własności. Nie obędziemy się podczas odbudowy naszej ojczyzny bez pomocy obcych ; mamy jednak starą przyjaciółkę Francję, związaną z nami ślubem krwi wspólnie wylanej — z nią c h c e m y dalej iść razem i razem pójdziemy.

Przemawiał po mnie jeszcze prof. Czekanowski ze Lwowa, który zwracał również uwagę na trudności jakie mamy do pokonania. Widziałem, że przemowy wywarły wrażenie, choć były tylko wyrazem uczucia, a nie referatem rzeczowym; przewodniczący gorąco przemówił o polskiej sprawie, a, co ważniejsza, Czesi i ich przyjaciele bardzo byli z tego niezadowoleni.

Mam wrażenie, że jest rzeczą niezmiernie ważną, by w kołach inteligencji francuskiej mówić o naszych sprawach, osobistymi stosunkami popierać związek narodów zaprzyjaźnionych, a przedewszystkiem informować o istotnym stanie naszego kraju. Można przez to zjednać wielu „sympatyków“ dla Polski.

Jeśli już mowa o sympatykach dla Polski, to nie mogę pominąć pewnego uderzającego zjawiska, z którym parę razy w Paryżu się spotkałem. Oto, ktokolwiek

z obcych zbliży się i zapozna lepiej bądź to z historią, bądź z literaturą bądź z wybitnymi osobistościami polskimi, ten nabiera gorącej sympatii, często niezmiernie silnie się objawiającej — dla naszej ojczyzny. „Polska, to jest Wielka Rzecz“, mówił Wyspiański; — wielką jej siłą, wielkie zalety skoro obcych zdolne oczarować!

Poznałem przed laty aptekarza z Lille, człowieka zamożnego, amatora-przyrodnika; kiedy się dowiedział, że jestem Polakiem, zaczął mi recytować pieśni polskie — po polsku, nauczył się ich, bo czytywał polskie książki, najpierw tłumaczone, potem w oryginale. Pokochał Polskę, bo, jak mówił, to jedyny kraj, gdzie ludzie czują i wierzą w ideały!

Wspominałem już o wysokim urzędniku z prefektury policyi paryskiej p. Paschalisie, który pomagał polskiemu internowanemu; wspomnieć jeszcze muszę o zacnym księdzu Ruppert, który zbierał po sklepach okrawki materii, by z nich polscy inwalidzi mogli robić zabawki dziecinne i zarabiać w ten sposób. Ale nie tylko na Francuzów Polska wywiera wrażenie; poznałem młodego Kanadyjczyka p. Rose, który nauczysz się po polsku, za mego pobytu w Paryżu pracował usilnie nad polepszeniem bytu naszych żołnierzy, jako przedstawiciel potężnej organizacyi Young Man Christian Association (Y. M. C. A.).

Najsilniejsze uczucia dla Polski odnalazłem w naszej wielkiej przyjaciółce, tej, która setkom Polaków przyniosła pomoc i uratowała tłumy dzieci polskich, znanej malarce: pannie Alma Tadmara z Londynu. Nie zapomnę nigdy rozmowy, jaką miałem z nią w Paryżu:

„Widzi Pan“, mówiła, „ci Polacy, których mamy w najbiedniejszych dzielnicach Londynu, to ludność o wybitnie dobrych cechach. Czy pan uwierzy, że ja zaraz rozpoznaję, kiedy wchodzę do domu nędzarza, czy to dom polski czy angielski? Czystość u Polaków znacznie większa, porządek i ład w mieszkaniu, a ojciec rodziny nie pije! A dzieci polskie, to rasa zupełnie odrębna; są one tak bystre, że nie możemy ich uczyć razem z naszymi, bo zbyt szybko pojmują i wnet prześcigną dzieci angielskie. A przytem mają to widocznie wrodzone, że i w ruchach jest u nich pewna elegancja i zawsze pozdrowią lub dobrem słowem pożegnają. Jest to jakaś rasa o dziwnie arystokratycznych cechach; trzeba koniecznie, aby taką pozostała!“

Czułem w tych słowach szczerą i głęboką sympatyę, tem cenniejszą, że znalazła się u osoby, która poznała doskonale dno nędzy londyńskiej, w której żyje często nasz robotnik. Okazała się też ta sympatya w czynach, bo panna Alma Tadema założyła mnóstwo ochronek, szkółek i przytułków dla dzieci polskich w Anglii i opiekowała się gorąco naszą ludnością, którą wojna w tem państwie zdybała; mając zaś rozliczne stosunki, oddała sprawie polskiej olbrzymie usługi.

Jako jeden z objawów życzliwości dla Polski i zrozumienia istotnego jej położenia jest też wyprawa Czerwonego Krzyża Amerykańskiego (American Red Cross) do Polski. Byłem w Paryżu podczas przygotowań do tej wyprawy; poznałem kierownika generalnego tej misyi

Prof. Bayley'a i kierownika technicznego Dra Taylora; bliskie stosunki łączyły mnie z należącym do tego stowarzyszenia podpułkownikiem Drem Fronczakiem, który oddał się całkowicie na usługi sprawie pomocy dla Polski. Przyjechawszy do Paryża z ramienia K. B. K. w celu uzyskania pomocy dla ludności naszego kraju i dla dzieł dobroczynnych kierowanych przez instytucję, która mię wysłała, rychło przekonałem się, że wielka sprawa pomocy dla Polski, nie może być oddana w ręce jednej instytucji, choćby nawet najsprawniej działającej, tylko musi być traktowana jako sprawa ogólnopolska. Pragnąłem więc zdobyć dla K. B. K. lub instytucji z nim związanych, pomoc z innych źródeł; zebrawszy informacje skierowałem się w stronę Czerwonego Krzyża Amerykańskiego, jako mającego zamiar nieść pomoc naszemu krajowi; wraz z innemi instytucjami charytatywnemi z Polski, które już przed moim przyjazdem gorąco się starały o pomoc amerykańską, wysłaliśmy podanie do tej instytucji. Uznano rozpaczliwy stan naszego kraju, i misja do Polski przyjechała, przynosząc duże środki jakimi rozporządza.

Towarzystwa naukowe francuskie, zwłaszcza tak poważne, jak Akademia Paryska lub Société de Biologie powzięły na początku wojny uchwałę, by skontrolować listę członków korespondentów zwłaszcza zagranicznych i usunąć tych, którzy okazali się niegodnymi należenia do tych instytucji. Société de Biologie

postanowiło jednak odroczyć ostateczną decyzję w tej sprawie, aż do chwili kiedy będzie możność ostatecznego stwierdzenia zachowywania się członków w czasie wojny; i właśnie w czasie mego pobytu w Paryżu ostatnia kontrola i wykreślanie miało się odbyć. Jako członek Soc. de Biologie zgłosiłem się do tego towarzystwa i otrzymałem zapewnienie, że Polaków się nie wykreśli, bo to przyjaciele Francyi, a co do mej osoby, to już niema najmniejszej wątpliwości. Mogłem też bez przeszkody ogłosić notę naukową w publikacjach tej instytucyi. Równocześnie jednak zapytano mię, czy też niewiem czegoś bliższego o członku tegoż towarzystwa, profesorze Uniwersytetu z Krakowa, który został mianowany już bardzo dawno temu, a teraz nikt o nim niewie kto to jest; nazwisko jego — Adamkiewicz. Odrazu przypomniałem sobie aferę z przed lat przeszło trzydziestu, jakąś niemiłą sprawę z badaniami raka — ale nie przypuszczałem, żeby ktoś, nie będąc od tak dawna profesorem naszej wszechnicy i opuściwszy Kraków na zawsze, jeszcze jednak naszej firmy używał! Rzecz prosta, że dałem odrazu potrzebne wyjaśnienia, lecz komisya, chcąc być lojalną, postanowiła zbadać czy też pan Adamkiewicz nie zgłosił się przypadkiem jako obywatel państwa polskiego, bo w takim razie nie chcianoby go pozbawiać godności. Do tego stopnia grzeczności wobec nas, może się posunąć tylko naród szczerzy i prawdziwie przyjacielskim duchem ożywiony.



**WŁADYSŁAW MICKIEWICZ, PRZEMAWIAJĄCY PODCZAS MANIFESTACJI POLAKÓW
U STÓP POMNIKA MIASTA STRASSBURGA, W DNIU ZAJĘCIA TEGO MIASTA PRZEZ
WOJSKA FRANCUSKIE.**

Z KOLONII POLSKIEJ W PARYŻU.

Nie zapomnę tego wrażenia, jakie na mnie uczyniła polska kolonia w Paryżu, kiedy po raz pierwszy z nią się zetknąłem. Będzie już temu z górą lat dwadzieścia, kiedy przyjechawszy na studia do Instytutu Pasteura osiadłem w pobliżu Bulwaru Montparnasse, w centrum, koło którego grupował się świat artystów i literatów polskich. Na małej bocznej uliczce Rue de la grande Chaumière mieściła się prywatna akademicka malarstwa Cola-Rossi, w której studyowało kilku Polaków; obok niej mieszkał Zenon Przesmycki-Miriam, zbierający usilnie pamiątki i rękopisy po Hoene-Wrońskim; niedaleko stamtąd, w uliczkach poza Panteonem mieszkał Wł. Reymont razem z J. Lorentowiczem; St. Przybyszewski z żoną, tą dziwną panią Dagny, tak pełną uroku, mieszkał w tejże okolicy i pisał wówczas jeden z najlepszych swych utworów. Cała grupa młodych polityków z Kiniorskim na czele studyowała w École des Sciences politiques; gromadka młodszych i starszych adeptów medycyny i przyrodniczych nauk, między nimi Prof. Stan. Ciechanowski, Dr. B. Motz i Dr. W. Kania, pracowała w różnych laboratoriach. Na tej samej uliczce Rue de la grande

Chaumière była pod 13-tym numerem mała „Crémérie“, której ściany były obwieszone obrazami; przepyszny piórkowy rysunek Podkowińskiego, pastele Wyspiańskiego, czwórka Chełmońskiego i jabłka Śliwińskiego, obok fotografii Strindberga, rysunków norwergskiego Muncha i Muchy, czeskiego malarza-dekoratora, świadczyły o tem, kto tam bywał; podworzec tego domu miał prawą ścianę ozdobioną ogromnym widokiem ogrodu luksemburskiego doskonale namalowanym przez... Wyspiańskiego...

Wrzała praca, tworzono i uczono się; wieczorami dysputowano, czasem „oblewano“ sprzedany obraz lub książkę, burzono światy, a zawsze... budowano w rozmowach i marzeniach Polskę, tę zjawę, w którą się wierzyło, jak w nieśmiertelną i realną świętość, lecz otuloną w jakieś mgliste, szare zasłony niepewności, oddaloną może dziesiątkami lat od naszych dusz utęsknionych.

Ale obok tej młodej kolonii był w Paryżu wówczas świat dawniejszego typu; była to kolonia emigrantów z 1831 i 1863 r., ludzie dobrzy, typy silne, pracujące, wybitne; przewijał się też jeszcze koło polskiej kolonii stary generał komuny Wróblewski; Księża Zmartwychwstańcy w niedzielę ściągali polaków na wspólne nabożeństwa; istniało jeszcze gimnazjum polskie na Baignolles; w Bibliotece polskiej na Quai d'Orléans chowały się stare, krzepkie typy powstańców. Corocznie świętem dla młodszej generacji i okazją do wypowiedzenia zapatrywań był obchód na grobie Słowackiego, dla starszych temsamem było nabożeństwo w Montmorency.

A ponad tem wszystkiem, ponad tą całą odbitą od Polski, lecz prawdziwie polską gromadką, unosiła się jedna idea, jedna myśl świetlana, ucieleśniona w jednym nazwisku: „Mickiewicz!”

Zmieniła się bardzo polska kolonia. Z dawnych młodych zapaleńców pozostał jedynie nieliczny zastęp; na jego czele jest Dr. B. Motz, dziś bardzo znany lekarz, biorący żywy, choć nieoficyalny udział w polityce. Za dawnych czasów był on podporą stowarzyszenia „Spójnia“, grupującego młodzież socjalistyczną; dziś pozostał wierny dawnym tendencyom. W czasie wojny i w miarę rozwoju wypadków stał on się przeciwnikiem Komitetu Narodowego, jako grupującego w sobie zrazu tylko elementy nie oparte na socyalistach; krytykę swą umieszczał w różnych pismach, redagowanych przez siebie, między którymi „Echo polskie“ rzucało się w niesłychanie cięty i zacięty sposób na wszystko co było dziełem Komitetu, a co nie wchodziło w ramy programu i sposobu myślenia partyi Dra Motza. Podczas mego pobytu w Paryżu, po świetnem exposé Dmowskiego o sprawie polskiej na Kongresie pokojowym, po dojściu do porozumienia między misją przyslaną przez Piłsudskiego, stale zresztą popieranego przez „Echo polskie“, a Komitetem, wreszcie z chwilą kiedy zapadła uchwała, że do Komitetu mają wejść przedstawiciele różnych stronnictw, Dr. Motz oświadczył mi wprost, że uważa swą rolę polityczną za skończoną i przestaje już wydawać „Echo polskie“, jako niepotrzebne. Niewiem jakie teraz zajmuje stanowisko, ale ten jego zamiar uważam za objaw bezsprzecznie dobrej woli, dążącej do zgody

i porozumienia. Rozmawiając z nim kilkakrotnie przekonałem się, że tak on, jak i cała grupa ludzi, której on przewodniczy, mają wobec Polski dobre i szczerze zamiary, a mylić się mogą tylko w metodach, jakimi dążyć chcą do celu.

Sprawa polska urosła podczas wojny tak nagle, a wskutek związania się Rosyi z koalicją tak dziwną z początku formę przybrała, że niełatwo było wielu polakom w Paryżu przystosować się do nowo powstałych idei z Polską związanych. Cała kolonia emigrantów z 1863 r. i ich epigonów, tych ludzi zacnych, wychowanych w nienawiści do caratu — odrazu odrzucała myśl, nie tylko sojuszu z Rosyą, ale nawet wszelkiej ostrożnej i oględnej z nią polityki. Nie było też w tem nic dziwnego, bo i politycy rosyjscy w Paryżu, jak n. p. Izwolskij, nie tylko zachowywali się wobec nadziei polskich z rezerwą, lecz nawet brutalnie gasić je chcieli. Wiem n. p., że deputacyę polską, która po manifeście W. Ks. Mikołaja udała się do Izwolskiego, spotkało bezczelnie zimne i surowe przyjęcie, graniczące z afromtem. Naturalnie więc z tą chwilą, kiedy przedostały się do Francyi wieści o zbrojnym czynie legionów i organizacyi Piłsudskiego, odruchowo przechyliło się wielu do tej idei widząc w niej polski „czyn zbrojny“, wymarzony od tylu pokoleń. A kiedy zmieniły się stosunki, kiedy szlachetna idea legionów poszła innym torem niż przyjazna Niemcom i Austrii polityka N. K. N. — w odległej Francyi ludzie nie zdawali sobie zrazu sprawy z tej różnicy; wielu zacnych polaków sądziło, że walka komitetu paryskiego z N. K. N. i jego pod-

porami, to walka z rzeczywistym, szlachetnym interesem Polski: tragiczne nieporozumienie! Teraz, na szczęście, zacierają się te różnice przekonań w polskiej kolonii, w miarę ogólnej konsolidacji stosunków w Polsce; jest to bardzo pocieszający objaw, ogromnie ważny także i dlatego, że cała kolonia polska może tylko wówczas w bardziej jednolity sposób informować opinię zagraniczną, jeśli złagodzi własne, wewnętrzne tarcia polityczne.

Wojna zaskoczyła wielu polaków we Francji i narażała ich na wielkie przykrości, jeśli im się nie udało na czas wykazać się dokumentami dającymi im możliwość swobodnego pobytu albo też, jeśli nie zajęli się nimi jacyś obywatele francuscy. Nawet i tych jednak, którzy uniknęli obozów koncentracyjnych, czekało we Francji dużo przykrości, bo zarobić na życie w czasie wojny nie było łatwo, zaś przyjaźń „jusqu'à la bourse” t. j. aż do materalnej pomocy posunięta, niezbyt łatwo w tym kraju przychodzi. A jednak i w tych warunkach wielu dało sobie radę! Dowiedziałem się, że dwóch naszych chemików, Doc. Dr. Klemensiewicz ze Lwowa i p. Tadeusz Łazarski z Krakowa wybili się pracując usilnie jako chemicy; udało im się wynaleźć nowe metody fabrykacji związków arsenobenzolu (znanego pospolicie jako 606), weszli w porozumienie z fabrykantami produktów chemicznych i pracując usilnie doszli do własnej fabryczki. Wielu innych inżynierów, chemików, lekarzy itp. znalazło nie tylko zarobek ale i niezłe uposażenie; to tylko dowód, że polska natura jest silna, nie tylko nie pozba-

wiona przedsiębiorczości ale nawet zdolna do pokonania konkurencji w krajach o ustalonych i wyrobionych już stosunkach handlowo - przemysłowych.

Przechodząc w Paryżu około sklepów z zabawkami, spostrzegłem w oknach wystawowych lalki dziwnie odbijające od wszelkich tego rodzaju zabawek. Zrobione całe z kawałków materji, miały głowy słabo tylko modelowane, lecz cały rysunek twarzy występujący niezmiernie wyraziście, dzięki ostro podkreślonym oczom i ustom, zaznaczonym grubym haftem. Wyrazy twarzy groteskowe, lecz niesłychanie wybitne, włosy zrobione z włóczki, jedwabiu lub nawet nitek metalowych, uczesane w fantastyczne lub arcyproste fryzury; suknie z prześlicznych materji jedwabnych, dobranych artystycznie, tak, że stanowiły całość bardzo harmonijną; jedne z nich, to figlarni pierroci lub pierrettki, inne to poważne markizy o lubieżnym uśmiechu, skromne bretonki, wesołe Paryżanki, a nawet symbol „la victoire!” w trójkolorowej szacie z wysoką czapką frygijską i laurem w ręce....

Pomyślałem sobie zaraz, jaki to bajeczny spryt mają Francuzi, skoro w tym czasie, kiedy nie mogą i nie chcą z Niemiec sprowadzać porcelanowych główek do lalek, stanowiących jeden z poważnych artykułów eksportu niemieckiego — wymyślili sobie lalki szmaciane i odrazu nadali im piętno wysokiego artyzmu a zarazem olbrzymią oryginalność!

Później zobaczyłem te lalki na wystawach handlów

modniarskich i u cukierników; dowiedziałem się, że nazywa się je „La Mascotte” — „Dziecię szczęścia” i że jest zwyczajem, iż takie lalki daje się damom w podarunku zamiast kwiatów lub cukierków. Spostrzegłem obok dużych lalek, maleńkie bałwanki z jedwabiu, złożone po dwa lub trzy, nazywające się „Nenette et Rintintin” a używane jako amulety przynoszące szczęście lub chroniące od zagłady; noszono je przy sukniach, parasolkach i mundurach, podczas bombardowania Paryża lub na froncie. Zapanowały te lalki i laleczki jako moda, potężna i wszechwładna, a ogólnie uznana.

W jakieś parę dni po zauważeniu tej rzeczy spotkałem się z znajomym mi od dawna p. Łazarskim. W rozmowie potrafiłem przypadkowo o te lalki.

„To pan już je widział?” zapytał mię p. Ł., „to nasze lalki, polskie. Myśmy tutaj z gronem artystów polskich założyli fabrykę tych laleczek; zajęli się tem państwo Mickiewiczowie, bo to był sposób dania zarobku całej rzeszy naszych artystów, rzuconych tutaj na bruk przez wojenne wypadki. Pracowali przytem nasi inwalidzi wojenni; zajęła się tem pani Paderewska i przewiozła te lalki za ocean, gdzie w kilkuset pismach odrazu zaczęły się pojawiać entuzjastyczne artykuły o naszych zabawkach. Teraz rozwinął się ten przemysł. Mamy już porządną pracownię; żona moja zgrupowała cały szereg polskich artystów około siebie i coraz to nowe pomysły i modele wprowadzamy w świat. Mamy już za sobą cały szereg pochlebnych ocen, przeszły nasze lalki przez ręce srogich „jury” i głów korono-

wanych; wielkie magazyny, takie jak Au Bon Marché lub Au Louvre zamawiają specjalne modele w tyśnięcach egzemplarzy, słowem, zdobyliśmy rynek handlowy dla naszego pomysłu. Co więcej, wszystkie wystawy sztuki są dla nas otwarte, ocenili nas pocholebnie wybitni artyści, a praca, głównie mojej żony, została w zupełności uznana, mimo że nie francuska, lecz czysto polska!”

Miałem sposobność potem widzieć pracownię, gdzie te lalki powstają; przebyłem parę godzin między temi dziwnymi postaciami, z których każda czy rysunkiem czy barwą żywo przemawia. Mój sąd o sprycie Francuzów, którzy w tych czasach zdołali nowe pomysły rzucić do przemysłu zabawkarskiego, by stworzyć konkurencyę towarom niemieckim, znacznie niższym co do poziomu artystycznego, — z radością zwróciłem w stronę polskich artystów. To przecież objaw bardzo pocieszający i dobrze o nas świadczący, że w ciężkich warunkach i smutnych czasach nasz, polski pomysł zdołał się wybić w tem centrum, które zawsze było pierwszym na świecie co do nowości i oryginalności pomysłów artystycznych.

Były zawsze i są jeszcze teraz w Paryżu wśród polskiej kolonii różne partye, różne koła i kółka więcej lub mniej zwarte, grupujące się w imię wspólności idei, interesu, samopomocy i wielu innych haseł; żyją one z sobą w zgodzie lub walczą, często z całą zaciętością; ale jest jedno środowisko, które leży ponad wszystkimi



**LALKI POMYSŁU POLSKICH ARTYSTÓW, WYKONANE W PRACOWNI P. STEFANII
ŁAZARSKIEJ W PARYŻU, ZNANE JAKO „LALKI PANI PADEREWSKIEJ”.**

sporami, ponad złością czy zaciętością, środowisko, o którym przyjaciele mówią z uwielbieniem, a wrogowie ze czcią — to dom Mickiewiczów.

Na cichej uliczce około Akademii Umiejętności, blisko brzegów Sekwany, skryte na wysokiem piętrze typowego starego domu z Quartier latin, jest mieszkanie jakby żywcem wyjęte ze starego dworku polskiego. W poniedziałki wieczorem gromadzą się tam liczne rzesze Polaków, pielgrzymujące jakby do Mekki, do tego miejsca, gdzie żyje duch i najżywsza tradycja tego, który się modlił o Wojnę Ludów, tego co nie przestał nigdy wierzyć ani w konieczność naszej wolności, ani w wartość czynu zbrojnego, ani w tężyznę naszego ducha!

Koło dziewiątej wieczorem salonik się zapełnia; zaczyna się rozmowa prowadzona w grupach, to ciszej, to głośniej i żywiej, zależnie od tematu. Słyszę jak w jednym kącie pokoju Władysław Mickiewicz opowiada Prof. Konopczyńskiemu i Czekanowskiemu jakieś własne przeżycia; żywy głos i gesty zdają się zdradzać jakąś sprawę aktualną i gorącą; za chwilę dolatuje mię parę razy nazwisko „Mazzini“ i urywki historyi z lat dawnych. Obok mnie pani Mickiewiczowa mówi właśnie: „Jak u nas ostatni raz był pan Tomasz.....“; „pan Tomasz“ to — Zan.

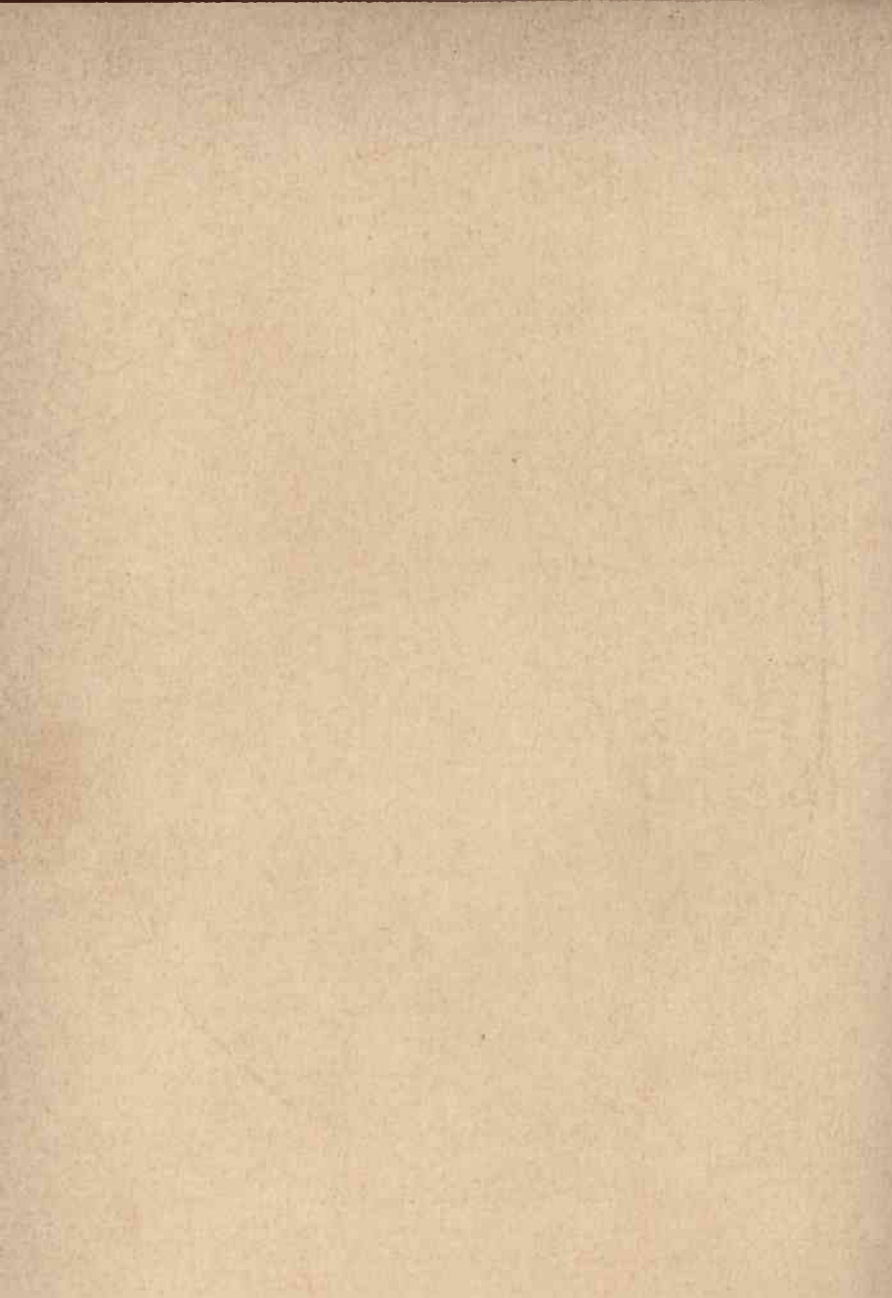
Mój Boże, gdzież ja jestem? W atmosferze, gdzieś z połowy zeszłego wieku, może dawniejszej. I zdaje mi się, że tylko tu, u nich, u tych dzieci i wnuków Adama można „Drzwi od Europy zamknąć

hałasu“ i nie pomnieć ani „O krwi tej, co się świeżo lała, o łzach, któremi płynie Polska cała.....“

Ale myliłby się, ktoby sądził, że ci ludzie zamknęli duszę na Dziś i żyją tylko tem dawnem Wczoraj. Przeciwnie, jeśli potrzeba, by Polska powiedziała mocne i serdeczne słowa Francyi, to mówi Mickiewicz. W dniu, w którym Francuzi wkroczyli do Strassburga, miał Władysław Mickiewicz przemowę u stóp posągu wyobrażającego to miasto na Placu Zgody. Jeśli zaś komuś z Polaków potrzeba pomocy, to napewno przez Mickiewiczów ją znajdzie, bo w tym domu została żywa myśl i ofiarność bez zastrzeżeń. Do dziśdnia on jest tą najwyższą placówką duchową, jaka się uchowala we Francyi z czasów, kiedy Polska u niej szukała schronienia, z czasów, kiedyśmy tam mieli wszystko co najwyższem i najlepszem było w narodzie.



GENERAL JÓZEF HALLER.



WŚRÓD WOJSKA POLSKIEGO.

Rodzinę Hallerów poznałem lat temu z górą dwadzieścia ; nie zapomnę nigdy tej przepysznej, świetlanej postaci, jaką był ś. p. Cezary Haller (starszy) z Mianocic, stryj generała Józefa Hallera, dawny powstaniec i działacz z 1863 roku, staruszek krzepki, bystry, znakomicie oryentujący się w stosunkach, chowający młodzieńczą świeżość umysłu mimo dziewiętego krzyżyka na barkach, a nienawidzący słabości ducha i nieuczciwości. Pamiętam dobrze ten mały dworek w Jurczycach, niedaleko Skawiny, skryty w ogrodzie na pagórku, z pasieką, w której rządzi siostra generała, pomagająca starej matce a zarazem ucząca dzieci wiejskie w miejscowej szkole. Żywo stoi mi w pamięci postać brata generała, ś. p. Cezara, zabitego przez Czechów na Śląsku, posła do byłego parlamentu wiedeńskiego, jak otoczony grupą przeciwników politycznych, śmiało i nieustępliwie bronił swych zasad, mimo przewagi dysputujących i braku poparcia ze strony audytorium

A z kronik krakowskich czytać też mogłem o Hallerach, jako uczciwych obywatelach, starszych kongre-

gacy kupieckiej, zawsze ożywionych duchem patryotyzmu i dobrych Polakach. Gniazdo więc, z którego wywodzi się generał Józef Haller, to rodzina bez skazy, w zasadach niezłomna, a zdolna do najwyższych poświęceń dla kraju. Takim jest też generał, dowódca armii polskiej we Francyi.

Do generała Hallera poszedłem w parę dni po przyjeździe do Paryża. Główna komenda wojsk polskich we Francyi mieści się na Avenue Jéna 15. Duży dom, przed którym stoi cały szereg samochodów pomalowanych na szaro, lecz oznaczonych orłem polskim na czerwonej tarczy; w bramie stoi warta, na piętrze, w sieni umieszczony stoliczek, przy którym najpierw trzeba opowiedzieć sierżantowi do kogo się idzie i w jakim celu. Żołnierz zabiera kartkę z nazwiskiem interesenta i melduje jego przybycie w kancelaryi; za chwilę wprowadzają mię do pełniącego służbę majora; widzę przed sobą typową postać z czasów Napoleona III., marsową i z wyrazem stanowczości na twarzy, a przytem dziwnie grzeczną i łagodną; opowiadam o celu mego przybycia i otrzymuję kartę wstępu do biura generała. Widać, że tu, w komendzie, ludzie pracują i cenią czas, bo na zbyteczne rozmowy niema tu miejsca, a godzin urzędowych przestrzega się bardzo ściśle.

Trafiłem u generała na dobry moment; jakoś tego dnia mniejszy był nawał pracy i można było uzyskać chwileczkę rozmowy. A było o czem mówić, bo przyjechałem właśnie w chwili, kiedy telegramy z kraju doniosły o upadku rządu Moraczewskiego, objęciu rządów

przez Paderewskiego, zwrocie opinii i początku konsolidacji stosunków w Polsce.

„Jak to dobrze!” mówił generał, „nareszcie odczepimy się od tego widma polityki germanofilskiej. Doprawdy pojąć nie mogę tego, że w Polsce jeszcze jest tylu ludzi, którzy nie mogą pozbyć się myślenia niemieckiego! Ale ja sądzę, że gdybyśmy nawet zupełnie tego sposobu myślenia się pozbyli, to jeszcze i tak przed nami jest wielka praca! Widzi pan, trzeba sobie to uświadomić, że wielu jest takich, którzy sądzą, że Polska ma za zadanie służyć Zachodowi, jako placówka kultury, wysunięta na Wschód; inni wyobrażają sobie, że ona ma być wałem oddzielającym Europę od Rosyi; a gdybyśmy którekolwiek z tych zadań przyjęli, jako nasze główne posłannictwo, tobyśmy musieli poprostu — znowu służyć obcym. Tak być nie powinno! Polska jest terytorjum, na którym mogą się spotykać i zmagać różne moce i różne wpływy; ale ona musi być sama dla siebie i mocna; taką musimy ją sobie sami zdobyć i wywalczyć! A z tej ziemi, na której tyle się spotyka obcych żywiołów, którą pragnęliby tak różni zawładnąć, — przez naszą własną siłę musi wypłynąć i wykwitnąć polski Król-Duch!...”

I toczyła się rozmowa o naszych biedach, o naszych żołnierzach, których właśnie wówczas ściągano z Włoch i Ameryki, Murmania i Syberyi, którzy płynęli różnemi drogami do nowo formującej się armii. Nie mogłem oczu oderwać od tej szlachetnej twarzy, z której biła wiara w powodzenie dobrej naszej sprawy i niezłomna chęć, byśmy służyli sami sobie, a jaknajprędzej

w własnej ojczyźnie, oparci o sojusz szczery i trwały z tą potęgą, z którą już tyle razy krew wspólnie przelewaliśmy, a która teraz najwięcej dla nas zrobiła.

Tegosamego dnia wieczorem uczestniczyłem w obiedzie, wydanym przez generała Hallera na cześć misji przysłanej przez naczelnika Piłsudskiego. W tak zwanym „Domu oficera polskiego“ przy Avenue du Bois de Boulogne l. 17, zgromadziło się czterech wysłanników z Warszawy: p. Sokolnicki, Dr. Dłuski, rotmistrz Wieniawa-Długoszowski i młody jego adjutant; przybył generał Haller i kilku członków Komitetu narodowego, grono oficerów z Paryża i z obozów rozrzuconych po Francji oraz parę osób cywilnych zaproszonych na tę uroczystość pierwszego oficjalnego zetknięcia się Piłsudczyków z wojskami Hallera. Były serdeczne i gorące przemówienia Dra Dłuskiego, p. Wielowiejskiego oraz odpowiedź generała, który zupełnie jasno zaznaczył, iż gdziekolwiek w tej wojnie polski żołnierz pod polskim walczył sztandarem, to czynił to z jedną i tąsamą myślą: by Polskę uwolnić od najeźdźców i dać znak widomy, że jesteśmy zdolni do Czynu Zbrojnego, tego wymarzonego ideału tylu pokoleń. Uważałem, że wojsko w Polsce powstałe pod Piłsudskim i Hallerczycy zgadzają się i zgodziliby się zawsze, by jednakową myślą ożywieni, wywalczyć dobre dla Polski granice; — a jeśli jest coś, co między te formacje mogłoby siać zaród niezgody, to byłiby to nie wojskowi, lecz tylko politycy i ludzie myślący o partyach więcej i goręcej niż o Polsce; miałem to przyjemne wrażenie, że nasze wojsko, gdziekolwiek

ono jest, chce służyć tylko Polsce i jest dlatego elementem zdrowym.

„Dom oficera polskiego“ to mały śliczny pałacyk, przy najpiękniejszej z wspaniałych ulic, zdążających ku Łukowi Tryumfalnemu; dowództwo wojsk polskich wynajęło go z całym urządzeniem na klub oficerski. Są tam meble stylowe, piękne obrazy, prześliczne brązowe świeczniki i pianina; duża sala jadalna mieści kilka stołów, przy których zmieścić się może nie tylko znaczna część korpusu oficerskiego stacyonowanego w Paryżu, lecz znajdzie się miejsce także i dla dość licznej gromadki cywilnych Polaków, przeważnie związanych z biurami kongresowymi. Bywałem tam częstym gościem, a nawet zostałem przyjęty jako czasowy członek; ciągnęło mnie do tego centrum życia żołnierskiego nie tylko to, że „Dom oficera“ jako wygodnie położony w bliskości biur Komitetu, nadaje się do tego, by z najmniejszą stratą czasu a zarazem i najtaniej załatwić sprawę posiłku południowego lub wieczornego, ale przede wszystkim nęciło mnie to towarzystwo, które tam stale się zbierało. Bywał tam często gen. Haller, pułkownicy: Junk, Budkowski i Zajac, o ile bawili w Paryżu; cały szereg oficerów różnych stopni i z najrozmaitszych gatunków broni, od marynarzy i lotników do zwykłych piechurów, przesuwał się jako goście, lub stale tam się stołował.

Co jakiś czas pojawiali się nowi przybysze; pierwszym pytaniem, które im zadawano, było: „Skąd i którejdy do nas przybywacie?“ I wówczas zaczynała się

zwykle jakaś zupełnie bajeczna opowieść, prawie nie do wiary, opowiadana poprostu, bez przesady; często wśród opowieści któryś ze słuchaczy zapytywał o jakiś szczegół, z którego widać było, że sam podobne losy przechodził, czasem w małej wzmiance przychodziła wieść o cudownem ocaleniu lub śmierci towarzysza broni...

Miły Boże, jakież to dziwne losy przechodził ten biedny polski żołnierz! Ten przez całą Rosyę przewędrował pieszo i z narażeniem życia dostał się na pustą tundrę murmańskiego brzegu; ów znowu, przeszedłszy z oddziałem Hallera na Ukrainę i przedostawszy się za Dniepr po bitwie pod Kaniowem, przeszedł w ciągłych walkach całą Syberyę, a potem przez Japonię lub Chiny wyprawił się do Francyi; inny, wzięty do włoskiej niewoli przeszedł odrazu do wojsk polskich; byli i z północnej Ameryki i z Brazylii, byli Polacy nie umiejący po polsku i Francuzi lub Amerykanie, po polsku się uczący... Przewijał się cały tłum ludzi, z których prawie każdy, jak liść wichrem miotany, gdzieś dalekie i smutne odbywał wędrówki, ale rwał się całą siłą woli i całem napięciem energii do tego, by złączyć się z tym ośrodkiem, który miał go zaprowadzić na walkę i na obronę Polski, tej jedynej, wymarzonej i ukochanej bardziej niż cokolwiekby na świecie!

W opowieściach tych rzadko kiedy wspomniano o osobistych biedach, o smutnych przeżyciach, wędrówkach o głodzie i chłódzie; to za zwykła rzecz, to wszyscy przechodzili! Nawet zazwyczaj nie mówiono wyrazu ja, tylko my; „my“, to oddział, pułk czy gromada towa-

rzyszy, z którymi razem się szło i cierpiało, dążąc ku Polsce.

Rozmowy przy stole toczyły się prawie zawsze o rzeczach polskich lub wojskowych, albo też o tematach ogólniejszej treści. Mimo tego, że w klubie prze-ważała młódź, pełna życia i zdolna do wybryków, nie schodziła rozmowa na tory lekkie, tak ponętne w Pa-ryżu, a tak nęcące zwłaszcza Polaków. Idea większa, silniejsza nad popędy, przejmowała tych młodych! Był zaś jeden ton, który dźwięczał w wszystkim, cokol-wiek się mówiło: ciągła i bezgraniczna tęsknica do powrotu do Polski!

Nie będę tu podawał historii, ani genezy armii polskiej we Francyi, gdyż była ona tyle razy opisywana w dziennikach, że staje się już tutaj zbyt częstą; muszę jednak przypomnieć kilka mniej znanych szczegółów.

Idea stworzenia własnych, polskich oddziałów po-wstała odrazu z chwilą rozpoczęcia się wojny. W Ba-jon nne zaczęto formować oddziały ochotników już w r. 1914. Poszły one odrazu na front i walczyły pod Arras jako wcielone do armii francuskiej; dziś pozostało z tych pierwszych oddziałów tylko nieliczne grono nie-dobitków. Bajończycy byli to Ci, którzy ideę Czynu Zbrojnego dla Polski odrazu zrozumieli i chcieli zreali-zować; wówczas kiedy powstał, istniała już we Francyi sympatya dla odradzającej się Polski, ale niemniej silną była cześć dla ówczesnej potęgi Rosyi. Wiadomo zaś, że carski rząd, choć niby proklamował swobodne zjedno-czenie ziem polskich, to w rzeczywistości o naszej wol-

ności wcale nie myślał, a objawy zbrojnego ruchu, odbywające się poza jego wpływem, były mu niemiłe. Los tych pierwszych oddziałów walczących o polską sprawę z Niemcami, jak mi opowiadano, nie był wesoły ni szczęśliwy; wcieleni w armię francuską, jako rodzaj legionu obcego, nie zaznali ani od swoich ani od obcych tej opieki, na jaką zasługiwała ich szlachetna ofiara. Dopiero w chwili zmiany stosunków politycznych, z chwilą kiedy Narodowy Komitet Polski w Paryżu na silniejszych oparł się podstawach, udało się uzyskać nowe koncesye na rzecz stworzenia wojska polskiego. Dnia 4 czerwca 1917 wydał prezydent R. Poincaré dekret, kontrsygnowany przez prezesa ministrów Ribot'a i ministra wojny Painlevé, ustanawiający Armię polską we Francji, jako osobną jednostkę, podległą naczelnemu dowództwu armii koalicyjnej, lecz walczącą pod własnym sztandarem; jej wystawienie i utrzymanie pokrywa Francya; ma ona składać się 1-o z Polaków służących w armii francuskiej, 2-o z ochotników polskich *).

Ochotnicy płynęli z Francji i z Ameryki, potem zaś coraz to liczniej zgłaszali się z obozów jeńców niemieckich w Francji i Anglii oraz austriackich we Włoszech. Osobne misye jeździły po obozach budzić ducha polskiego wśród jeńców, w Ameryce gorąco pracował Wydział Narodowy. Nie upłynął rok, a armia we Fran-

*) Akty urzędowe, odnoszące się do stworzenia armii polskiej we Francji, zostały ogłoszone staraniem Misji wojskowej francusko-polskiej p. t.: *Recueil analytique des actes de l'Armée polonaise* — por. A. Merlot. Paris, 1918.



WOJSKO POLSKIE NA PLACE DE LA CONCORDE W PARYŻU D. 14. LIPCA 1918 R.



cyi miała blisko 2000 ludzi, a część z niej, pod dowództwem pułkownika Jasińskiego walczyła pod Chateau Thierry i odznaczyła się mężnem wystąpieniem.

Miasta francuskie: Paryż, Nancy, Verdun i Belfort ofiarowały wojskom polskim sztandary z orłami białymi. Kiedy zaś Francya święciła 14 lipca 1918 święto narodowe, w Paryżu na Place de la Concorde a w Nancy na Place Stanislas pod pomnikiem króla Stanisława Leszczyńskiego, zjawiły się już i nasze wojska oddające hołd bratniemu narodowi.

Przyszło lato 1918; do Paryża przybywa Haller. Francya przyjmuje go serdecznie; Komitet Narodowy oddaje mu dowództwo całej armii polskiej na terenach zajętych przez Koalicję. Równocześnie zaczynają napływać coraz liczniejsi ochotnicy, a armia we Francyi rośnie i rozwija się. Rozlokowano tę armię częścią na froncie, częścią w rezerwach, częścią w obozach instruktoryjnych. Północ Francyi, a zwłaszcza Bretania zarośla się polskim żołnierzem, mającym strój zupełnie podobny do francuskiego, lecz czapkę bez daszka, rogatą. Są w tej armii wszelkiego rodzaju oddziały: od piechoty i konnicy do artylerii, tanków i lotników, jest cały zastęp wojsk pomocniczych i oddziałów sanitarnych, są nawet kapelani polscy, przeważnie z Ameryki pochodzący, słowem to według dzisiejszych pojęć niewielka, bo zaledwie około stu tysięcy licząca, lecz doskonała jednostka bojowa!

Rozmawiałem w klubie oficerskim z różnymi wojskowymi a zwłaszcza z pułkownikiem Budkowskim o potrzebach żołnierza polskiego; dowiedziałem się, że za-

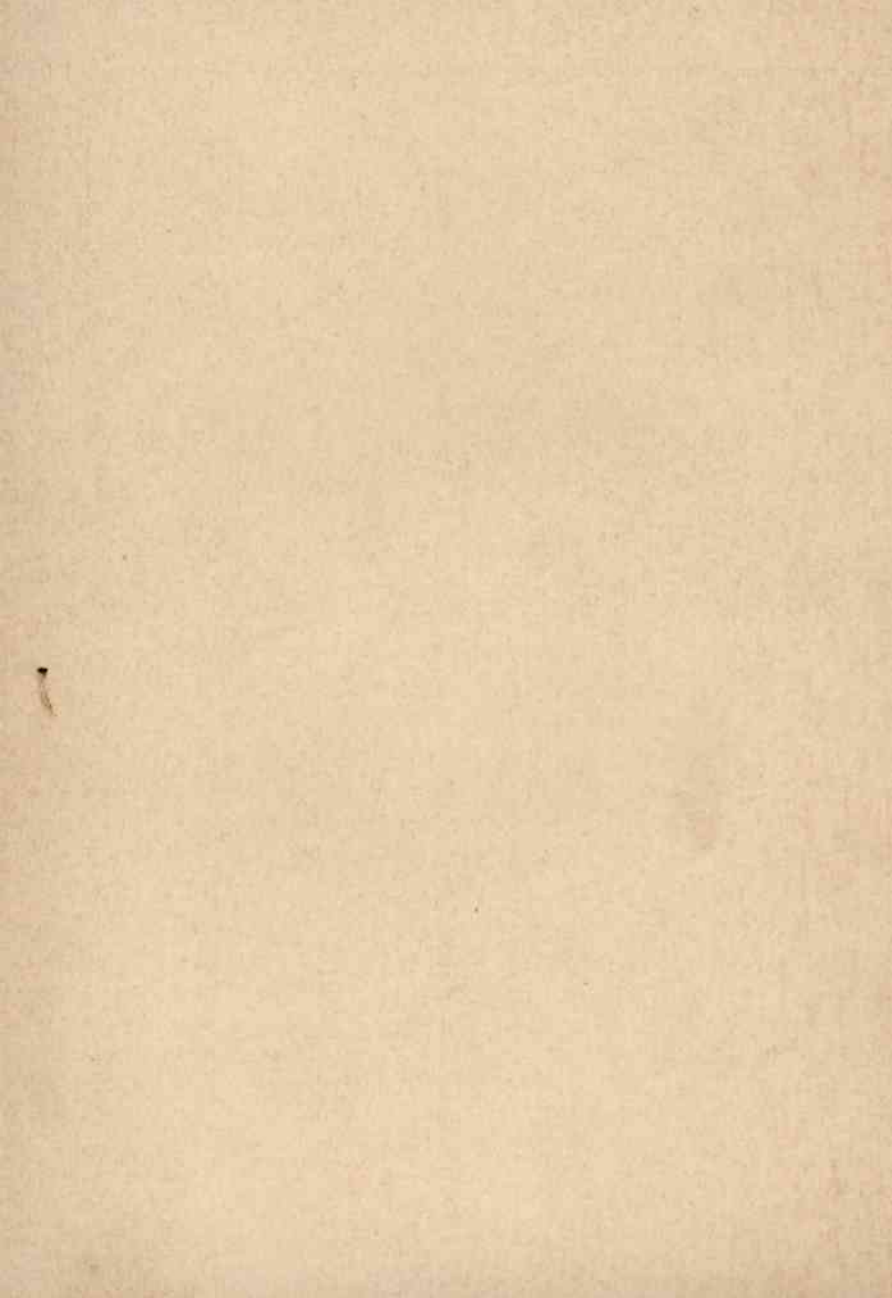
równomundurowanie jak i wszelkie inne zaopatrzenie oraz żywność, są zupełnie dobre i w dostatecznej ilości; natomiast brakuje trochę opieki moralnej. Ta armia powstała nagle, nie było czasu na zorganizowanie rozrywek, wykładów czy też innych pożytecznych przyjemności, potrzebnych na to, by podtrzymać ducha, by ukoić choć trochę tęsknotę do kraju. Pułkownik Budkowski starał się, by zorganizować teatr amatorski dla żołnierzy; sam nawet napisał bardzo udatny obrazek sceniczny z życia żołnierzy p. t. „Największy dramat”; kapelan jednej grupy wojsk, ksiądz Więckowski, utalentowany muzyk, stara się krzewić naukę śpiewu, wydał zbiór pieśni polskich i zakłada chóry żołnierskie. To jednak jeszcze nie dość; trzeba ludziom dać wieści z kraju.

Usłyszawszy taką opinię, ofiarowałem swą pracę i podjąłem się wygłoszenia wykładów w obozach wojsk polskich. Kapitan Malinowski, na polecenie generała Hallera, zajął się odrazu wystawieniem dla mnie marszruty do Quintin do Bretanii, gdzie znajdował się obóz ćwiczebny (Camp d'instruction) i szkoła oficerów oraz podoficerów.

Z dworca Montparnasse wyruszyłem ku północnej Francji pociągiem przepełnionym urlopnikami i zdemobilizowanym wojskiem, wracającym wesoło do domów a odgrażającym się, że „niech tylko les boches (Niemcy) zaczną na nowo robić awantury, to oni zaraz wrócą na front i zrobią porządek!” Nie widziałem w nich nawet śladu rozgoryczenia lub znużenia albo też jakie-



ZŁOŻENIE WIĘNCA OD WOJSKA POLSKIEGO U STÓP POMNIKA KRÓLA STANISŁAWA LESZCZYŃSKIEGO W NANCY.



goś bolszewizmu, o którego postępach tak chętnie pi-szą niemieckie gazety.

Nim noc zapadła przejechaliśmy koło obozu armii amerykańskiej, złożonego z licznych płóciennych namio-tów, bardzo pięknie i regularnie rozpiętych, zamykają-cych się bardzo szczelnie i opatrzonych wewnątrz pie-cami, od których rury sterczą przez dachy. Pośrodku obozu jest duży, wyrównany plac na ćwiczenia i zabawę w piłkę nożną; cały obóz otoczony zasiekami z dru-tów kolczastych.

Pociąg włókł się powoli i spaźniał się coraz bar-dziej; nad ranem zaczęły w szarej poświacie majaczyć długie szeregi wierzb prowadzonych dość wysoko, lecz z obciętemi gałęziami. Małe pola poprzdzielane rowami, kraj falisty, a wszędzie tłumy tych wierzb pogarbionych i pokręconych cudacznie, jakby tłumy chochołów, cze-kających na ciepły podmuch wiosny. Kamienne, szare domki; tu i owdzie gotycki, prosty kościół, na stacyach czarno ubrane kobiety z białymi czepcami i w drewnia-nych sabotach; to już Bretania, ten kraj tęsknoty i biedy, dawnych jakby wprost z średniowiecza w nasze czasy przeniesionych miasteczek, kraj wojną nie tknięty, za-chowujący starodawne, przedwieczne uroczyska i ludzi o dawnych wierzeniach, dawnych cnotach i starych błę-dach; to kraj tak bardzo z pozoru do naszej Polski podobny, ale treścią bardzo od niej różny. Tutaj była jedna z głównych siedzib stęsknionego za Polską żoł-nierza polskiego.

Na dworcu w Quintin oczekiwał mię wysłany przez komendanta porucznik Trzebunia, z Zakopanego pocho-

dzący, który do Francji dostał się objechawszy pół świata. Prowadził mnie przez drogę ubraną szeregami smutnych wierzb; od niej, od czasu do czasu odgałęziały się boczne drożyzny wcięte między pagórki, zarosłe trochę krzewami po bokach. Miałem wrażenie, że idę polską drogą; tylko miasteczko z szarych kamieni, z ładnym gotyckim kościołem zupełnie już bretoński nosi charakter.

Droga prowadzi koło planty kolejowego podnoszącego się w rodzaj wiaduktu; koło niego szereg porządných białych baraków; na jednym z przęseł wiaduktu napis: „Polska szkoła wojskowa — École militaire polonaise“. U bramy do baraków stoi na warcie tęgi chłop, z marsową miną, typowy Maciek mazurski z rudawymi wąsami — to Polak, ochotnik, z Kanady pochodzący. Za barakami duży staw z przepływającą wodą, obrosły gęsto drzewami; nad nim wznosi się pagórek a na jego szczycie ogromny szary krzyż wyciąga ramiona ponad baraki, w których żyje polski żołnierz i pełni się tęsknota za Polską...

Zmęczony blisko dwudziestogodzinną jazdą, dostawszy się do hotelu, położyłem się na chwilę; nagle usłyszałem za oknem, na ulicy gromkie i tężyzny pełne słowa jakiejś prostej piosenki żołnierskiej. Zbliżał się chór męskich głosów, silnych, krzepkich — po chwili usłyszałem miarowy rytm kroków i pod oknami przemaszerowała kompania wracająca z ćwiczeń. Same chłopcy tęgie „na schwał“, wspaniale zbudowane, uzbrojone wybornie. Szli szybko, zgrabnie i równo, biła z nich jakaś radość z siły i moc, a takie to było jakieś dziwnie pol-

skie, że nawet gdyby nie mieli rogatych czapek z fantazją na ucho zsuniętych, poznałbym pewno, że to nasi!

Przeszli koło okien, znikli za zakrętem ulicy; na drodze została gromadka bretońskich dzieci w sabotach, śpiewająca tęsamą piosenkę żołnierską — po polsku; jedna z dziewcząt miała lalkę, ubraną za żołnierza w rogatej czapce... Będą tu mieli kiedyś etnografowie kłopot i pracę!...

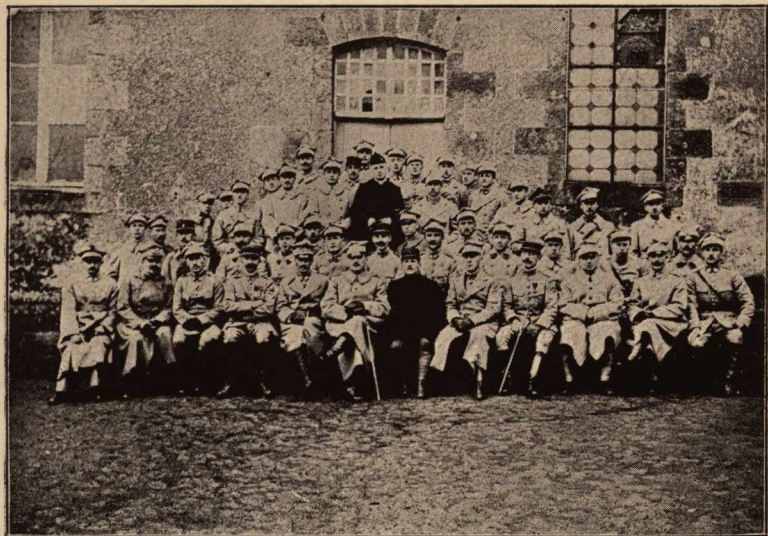
Nie wytrzymałem w hotelu i poszedłem odrazu do baraków. Miałem tam między żołnierzami siostrzeńca, którego przez długi czas uważałem za zgubionego, bo zniknął pełniąc służbę na włoskim froncie w byłej armii austriackiej. Odezwałem się do wartownika po polsku; pytając o mego kuzyna; odrazu otoczyła mnie gromada żołnierzy z posterunku stacyonowanego przy bramie; krzyżowały się pytania o wieści z kraju i prośby o doniesienie rodzinom choć słów kilku o tych dalekich a tak stęsknionych żołnierzach, a ponad wszystko wybijało się pytanie: „Kiedyż wrócimy do Polski, kiedyż nam dadzą pojechać?!“

Komendantem obozu instrukcyjnego w Quintin był pułkownik Budkowski, z armii rosyjskiej, potem z korpusu Dowbora-Muśnickiego; tensam, któremu polski Komitet w Moskwie chciał powierzyć formowanie polskiego wojska na Murmańskiej tundrze. Przez dwa dni pobytu w Quintin wiele z nim rozmawiałem; nie zdołałbym może streścić jego dziwnych przygód, które go w końcu zawiodły na Murman, by wreszcie dać mu stanowisko w Armii polskiej. Odniosłem wrażenie, że mam przed sobą dobrego, szczerze myślącego i gorąco czującego

Polaka; widziałem, jak troskliwie opiekuje się żołnierzem, jak umiejętnie prowadzi naukę oficerów i jak doskonale wychodzi z instruktorami francuskimi; słowem miałem na nim nowy dowód, jak dużo dobrego, wojskowego materiału polskiego mieściło się w różnych armiach zaborczych.

Z jego opowiadania utkwiał mi jeden szczegół w pamięci: Było to na Murmańskim wybrzeżu. Okolica tam straszna: pusta, płaska tundra, pokryta smutną karłowatą roślinnością. Mieszkaniem żołnierzy były przeważnie tylko wagony kolejowe i to porozrzucane po splątanych, licznych szynach stacyi kolejowej, tak, że ewidencja wojska bardzo utrudniona, a należyta opieka zupełnie niemożliwa. Anglicy, którym ten punkt na północy Rosji jest koniecznie potrzebny, zażądali posiłków; przysłano im... Hindusów - Mahometan, zdaje się Sikków z Himalajów, przyzwyczajonych do nieco ostrzejszego klimatu.

I stała się rzecz straszna! Przyszedł czas świętego miesiąca postu i wesel nocnych, mahometański Ramadan; wiernym wyznawcom proroka niewolno w tym miesiącu niczego wziąć w usta przez cały dzień, aż do zachodu słońca. Na trzeci czy czwarty dzień Ramadanu, słońce przechyliło się nad horyzontem i... nie zaszło, bo rozpoczął się dzień północny, bez przerwy trwający przez czas dłuższy. Wygłodzeni dziennym postem Hindusi czekali na zachód słońca nie jedząc; minęło 24 godzin, potem dwa dni — słońce ukosem bez miłosierdzia wciąż patrzyło na wiernych synów Proroka, ginących z głodu. Zaczęły się rozruchy, wielu pomarło z wycień-



GRONO OFICERSKIE W OBOZIE WOJSKOWYM W QUINTIN; POŚRODKU W PIERWSZYM SZEREGU PUŁKOWNIK BUDKOWSKI; MIĘDZY OFICERAMI KSIĄDZ KAPEŁAN WIĘCKOWSKI.

czenia; trzeba było wojska hinduskie wywieść z tego przekłętego kraju. Komendant wojsk angielskich generał Pull miał ochotę, by z Polaków zrobić tam wojsko do walki z bolszewikami; sprzeciwił się temu stanowczo pułkownik Budkowski i gen. Haller, który potem przybył na Murman z Moskwy. Został tam tylko mały oddziałek, około 400 ludzi, którzy i tak mieli być wnet stamtąd cofnięci do Francji.

W Quintin mieści się szkoła oficerska; poznałem wszystkich jej członków, bo wprowadzono mię do domu oficerskiego. Uczniowie tej szkoły rekrutowali się z bardzo różnych stron świata i różnych warstw społecznych. Obok rezerwowych oficerów i podchorążych z armii austriackiej byli tam także i amatorzy z Ameryki, którzy przybyli jako ochotnicy. Instruktorowie francuscy za pomocą tłumacza mieli wykłady, potem zaś ćwiczenia praktyczne w polu. Byłem zaproszony na takie ćwiczenia; odbywały się one pośród pagórków za miasteczkiem, nasz żołnierz krył się i przekradał między dolmenami bretońskimi, zdobywał szturmem pozycję bronioną przez kilku turkosów, zwijał i rozwijał szyk bojowy, słowem wprawiał się w twarde wojenne rzemiosło. Podziwiałem instruktora francuskiego, jak zwracał uwagę na każdy szczegół, jak ze złych ruchów wyciągał sprytne naukę, dobre podkreślał, słowem nie szczędził trudów, by dużo nauczyć młodych adeptów tego młodego wojska.

Sami żołnierze wspaniale się prezentowali; pomijam już to, że to przeważnie chłopcy doskonale odżywione, jak świece proste a tęgic jak dębczaki, ale imponujące było

ich wyekwipowanie a zwłaszcza uzbrojenie. Francuzi podczas wojny przyjęli tę zasadę, że trzeba w boju, o ile się da, posługiwać się maszynami a oszczędzać ludzi. Stąd też w każdej francuskiej kompanii piechoty jest niesłychana ilość karabinów maszynowych, dużych i małych, dział kartaczowych, przyrządów do rzucania granatów ręcznych i t. p. Tosamo uzbrojenie mają formacje polskie, a dodać trzeba, że amunicji jest w bród, dlatego też siła ognia takiej kompanii podczas boju jest straszliwa. Przyda nam się to do naszych walk!

Miałem w Quintin trzy wykłady, jeden dla oficerów, dwa dla żołnierzy. Rozmawiając z nimi zaraz w pierwszy dzień po przyjeździe wywnioskowałem, że rzeczą najbardziej budzącą zaniepokojenie są wieści z kraju; mówiłem więc o tem jak to w Krakowie, Warszawie i Poznaniu odbyło się przejęcie władzy w ręce polskie, jak się Polska organizuje, co w niej już jest gotowego, jaką ma przyszłość i czego nam potrzeba. Wykłady dla żołnierzy miałem w dużej sali t. zw. „Ogniska żołnierskiego“, wypełnionej po brzegi. Słuchano mię z zapartym oddechem, dziękowano gorąco; wiem zaś, że później komentowano moje wykłady bardzo żywo a życzliwie. Zadawano też trochę pytań, lecz wszystkie zawsze do jednego celu zmierzały, to jest do sprawy powrotu do Polski.

Biedny ten żołnierz polski! Po ćwiczeniach w polu odbytych słyszałem jak mówili żołnierze: „My tu między te bretońskie kamienie strzelamy, a tam we Lwowie biją się dzieci i dziewczęta! Czemu nas nie puszczą?“ Czasem, naturalnym i naiwnym sposobem zwracał się



KOMPANIA SANITARNA WOJSK POLSKICH ORGANIZOWANYCH WE FRANCYI.

wyrzut w stronę bezpośrednich zwierzchników: „Gdyby się lepiej o to upominali, tobyśmy może prędzej tam pojechali!”

Biedny żołnierz! tęskni do tego kraju gdzie mu zaraz przyjdzie krew przelewać, gdzie nie na odpoczynek przyjedzie, ale na krwawą walkę z wrogiem, — a jednak tęskni bo to jego ojczyzna!

„HONORIS CAUSA“.

Dziesiątego grudnia 1918, Wydział filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie powziął jednomyślną uchwałę, by nadać tytuł doktora „honoris causa“ Prezydentowi Wilsonowi; na następnej posiedzeniu uchwalono udzielić podobnego odznaczenia prezydentowi ministrów Clemenceau. Równocześnie Wydział teologiczny nadał tytuł doktora Kardynałowi Mercier a Wydział Medyczny Marszałkowi Foch'owi. Senat naszej Wszechnicy zatwierdził odrazu te uchwały Wydziałów dając im już moc prawną, mnie zaś polecono abym o tych zaszczytach zawiadomił nowo kreowanych doktorów. Ponieważ wyjeżdżałem dość nagle do Paryża, nie było już można zrobić pięknych, oryginalnych dyplomów; okazało się zresztą, że brakło pergaminu i puszek złożonych na pieczęcie, bo podczas wojny zużyto zupełnie te przedmioty. Postanowiono więc napisać piękne adresy podpisane przez Rektora i odpowiednich dziekanów a opatrzyć je starą pieczęcią opłatkową. Adresy do prezydenta Wilsona i prezydenta Clemenceau ułożył po angielsku i po francusku prof. Wład. Natanson, zaś dla reszty doktorów prof. Karol Klecki;

przepisano je na pięknym czerpanym papierze, opatrzonem godłem uniwersyteckiem. Dla mnie zaś kancelarya uniwersytecka wygotowała listy uwierzytelniające po angielsku i francusku, mające mi służyć do wyrobienia sobie audyencyi. Posługiwałem się nimi kilkakrotnie, wobec władz austriackich, szwajcarskich, włoskich i polskich; miałem wrażenie, że ta legitymacya była lepsza od innych i ułatwiła mi w znacznym stopniu podróż do Francyi.

Natychmiast po przyjeździe do Paryża rozpocząłem starania o audyencye, a równocześnie kazałem zrobić teczki na adresy. Z amarantowej skóry, pięknie groszkowanej, wybite wewnątrz białą morą, zawierały one tylko arkusz japońskiego papieru jako ostateczną okładkę adresu, przyczepionego wstążeczką; całość wyglądała bardzo skromnie ale bardzo ładnie.

Starania o audyencye trwały bardzo długo; nie mogłem ich rozpoczynać wprost, jako wysłannik Uniwersytetu, bo przecież akt uznania dla tak wybitnych osobistości był sprawą polityczną i musiał być przedsięwzięty z wiedzą Komitetu Narodowego i za jego pośrednictwem. Komitet zwrócił się do ambasady amerykańskiej oraz do odpowiednich ministerjów francuskich i rozpoczęło się czekanie na odpowiedź. Mijały dnie i tygodnie bez skutku; wówczas sam zacząłem działać na własną rękę. Henryk Arctowski, który jest bibliotekarzem polskiego działu w Bibliotece publicznej w Nowym Yorku, a został przysłany do Europy przez rząd amerykański jako pracownik w amerykańskiej Komisji kongresowej, powiedział mi do kogo udać się

należy, aby uzyskać audyencję u prezydenta Wilsona. Tą osobą, która układa program dnia zarówno prezydenta Wilsona jak i pułkownika House, jest szwagier ostatniego z wymienionych, pan Auchinclos. Udałem się wprost do niego, pokazałem pismo uwierzytelniające od Uniwersytetu, poprosiłem o audyencję dla siebie oraz kilku moich kolegów, jako deputacyi uniwersyteckiej, a potem, na jego żądanie, dałem mu też kopię prośby o audyencję dla mnie, wysłanej przez Komitet Narodowy. W trzy dni potem otrzymał Komitet zawiadomienie, że prezydent Wilson udziela mi posłuchania i prosi o porozumienie się co do godziny. Wyznaczono posłuchanie na dzień ósmego lutego, godzinę ósmą i dziesięć minut.

Ponieważ większe wrażenie robi zawsze liczniejsza delegacja niż jeden delegat, więc poprosiłem tych kolegów z Uniwersytetów polskich, którzy bawili w Paryżu, aby mi towarzyszyli; byli to: Prof. Eugeniusz Romer, Stanisław Stroński i Jan Czekanowski. Wprowadzał nas z ramienia Komitetu p. Roman Dmowski.

Podjechaliśmy automobilem pod pałac księcia Murata, będący siedzibą prezydenta. Przy bramie przyjęła nas warta; oficer zapytawszy o nasze nazwiska wpuścił nas na właściwy podworec. Warta przy bramie i przy wejściu do pałacyku sprezentowała broń. Weszliśmy do wnętrza hali wchodowej, gdzie raz jeszcze musieliśmy podać bilety wizytowe i wpuszczono nas do poczekalni.

Podziwiałem pomysłowość Francuzów, którzy wysilili cały swój spryt, by urządzić mieszkanie dla Wiel-

kiego Amerykanina z wszelkim przepychem i wygodą, a zarazem z najlepszym i najpiękniejszym wykwitem gustu artystycznego. Pokoje w stylu lekkiego francuskiego „barocco“, obite ślicznymi, wzorzystymi adamaszkami, mają na ścianach niewiele obrazów, lecz są to najpierwsze dzieła sztuki. W fałdach materji stanowiącej obicie, poukrywano małe lampki elektryczne z reflektorami, rzucającymi wieczorem snop światła na obraz, tak że zda się, iż świeci własnym, żywym blaskiem. Świeczniki, umieszczone wysoko lub lampy pod stropem ukryte, dają jasne lecz łagodne światło, przełamane jeszcze barwą adamaszkowych obić ściennych.

W chwili, kiedyśmy wchodzili do poczekalni, prezydent Wilson przechodził właśnie do pokoju audyencyonalnego; skłonił się zdala uprzejmie Dmowskiemu i zniknął za drzwiami pokoju, w którym już czekała jedna delegacya. Była to również delegacya polska, która imieniem polskich dzieci wręczyła prezydentowi dużą, ślicznie kaligrafowaną księgę, były w niej dokumenty głodu w Warszawie: zbiór kompletny kart chlebowych i historia ich wydawania. W deputacyi brały udział panie: hr. Zamoyska i Platerowa oraz panowie Żółtowski, Łubieński i Janasz; dziwnem mi się zdało, że nie było w tem gronie właściwego twórcy pomysłu tej książki, a zarazem tego, który czuwał nad jej wykonaniem, pisał tekst do niej i przywiózł ją do Paryża: pana Laurysiewicza z Warszawy.

Po wyjściu pierwszej delegacyi w parę chwil poproszono nas na audyencyę. Prezydent Wilson stał na środku pokoju; podszedł ku Dmowskiemu i serdecznie

się z nim przywitał, jakby z starym znajomym. Dmowski po kolei nas przedstawił, objaśniając pokrótce kim jesteśmy, a po wymianie uścisków dłoni ja rozpocząłem przemówienie po angielsku :

„Panie Prezydencie!

Przybywam do Ciebie jako delegat pierwszego i najstarszego uniwersytetu polskiego, a jednego z najstarszych w Europie; przybywam z miasta Krakowa, zwanego przez cały nasz naród „sercem Polski“. I nie jestem tylko posłem od naszej korporacji, lecz także od tych milionów serc polskich, bijących silnie, a pełnych wdzięczności dla Ciebie, Panie Prezydencie!

Ojczyzna moja była jedną z najnieszcześniejszych krain na ziemi. Po więcej niż stuletniem męczeństwie przysła na nią wielka fala wojny. Dziedziczny wróg naszego narodu, kryjąc się pod najszlachetniejsze hasła wolności i kultury, popełniał najwstrętniejsze zbrodnie na ludzie naszym i naszych zagrodach. I w tych żałosnych czasach otrzymaliśmy nagle wieści o Twych słowach, mocnych, a pełnych decyzji. Był to dla naszego narodu jakby świeży powiew orzeźwiający w tej smutnej, ciężkiej atmosferze germańskiego ucisku.

Dla nas, z Uniwersytetu krakowskiego, słowa Twoje były nie tylko pociechą, lecz zrobiły też wrażenie nowej i bardzo ważnej naukowej rewelacji. Panie Prezydencie, byłeś pierwszym, który odważył się ogłosić „sprawiedliwość dla całego świata“, jako zasadę kierującą podczas porządkowania i układania przeciwnieństw politycznych i Ty wykazałeś, że Twoja zasada ma wybitne praktyczne znaczenie dla rozwoju i przyszłego życia ludzkości. Bez wątpienia, Twoja działalność, Panie Prezydencie, starająca się regulować biologiczne prawa życia międzynarodowego za pomocą potężnej zasady sprawiedliwości, ma podobne cechy jak wielkie zdobycze wiedzy. Tyś jest pierwszym, który czyni codzienne życie narodów zawisłem od zasad moralnych.

Biorąc te rzeczy na uwagę, Uniwersytet Krakowski powierzył mi tę zaszczytną misję, bym Ci przedłożył następujący adres:

Panie Prezydencie!

My, Rektor i Senat akademicki, Dziekan i Wydział filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, mamy zaszczyt zawiadomić Pana, Panie Prezydencie, że w dniu dziesiątym grudnia niniejszego pamiętnego 1918-go roku godność akademicka Doktora Filozofii honoris causa została nadana Panu przez nasz Uniwersytet zgodnie z jego starożytnymi ustawami i przywilejami.

Oby ta godność była skromnym hołdem głębokich i serdecznych uczuć wdzięczności i podziwu, które żywią dla Pana, Panie Prezydencie, polscy uczeni, a wraz z nimi cały nasz Naród.

Świat jest dłużnikiem Pańskim, Panie Prezydencie. Przepłynąłeś Atlantyk, żeby podjąć w Europie zadanie najwyższej doniosłości dla rodzaju ludzkiego, a na rzecz tej najszlachetniejszej sprawy zaciągnąłeś Pan gigantyczne siły ogromnej i przesławnej Rzeczypospolitej.

Ale Naród Polski, Panie Prezydencie, ma jeszcze względem Pana inne zobowiązania, tak wielkie, że trudno jest w mowie dostatecznie je wyrazić. Gorącym będąc wyznawcą prawdy i sprawiedliwości, wypowiedziałeś Pan, Panie Prezydencie, owe trwale słowa, których przeznaczeniem było unicestwić ohydny zbrodnie, dokonaną na naszym Narodzie. Dumni z tego jesteśmy, Panie Prezydencie, radujemy się tem, że jest nam dane związać Pańskie czcigodne imię z Rocznikami naszego Uniwersytetu. Nietylko bowiem w naszych czasach, ale w niezliczonych latach, które nadejdą, imię Pańskie będzie nierozzerwalnie związane z historią moralnego postępu ludzkości.

Uczeń naszego Studium generale, Mikołaj Kopernik, odkrył ludzkości przed wielu laty nowy porządek zjawisk na Niebie. Wierzymy w to, Panie Prezydencie, że Pan, mamy nadzieję, odtąd honorowy członek naszej Korporacji, otwierasz obecnie przed naszymi oczyma nowy porządek rzeczy na ziemi.

W Krakowie, 10 grudnia 1918.

Rektor:

X. Sieniatycki,

Dziekan Wydziału filozoficznego:

Waleryan Klecki.

Podając teraz teczkę z adresem, zakończyłem :

„Panie Prezydencie! Niestety, ze względów technicznych nie było można przywieźć Ci teraz oryginalnego dyplomu; proszę Cię jednak, zechciej przyjąć ten adres i dozwól, że zakończę me posłannictwo naszą starą formułą: *Quod felix, faustum, fortunatumque sit!*“

Przez cały czas mego przemówienia prezydent Wilson słuchał bardzo uważnie, potakując miejscami skinieniem głowy. Kiedy mówiłem o tem, że Polska była nieszczęsną krainą, wtrącił „Yes, indeed!“ (W istocie!); widać było, że z niezmierną uwagą słuchał mego wywodu porównującego jego pracę do pracy naukowej, kiedy zaś czytając adres Uniwersytetu, na końcu wspomniałem o Koperniku i o nim, jako o reformatorach pojęć — widocznie był wzruszony, a nawet lekko się zarumienił. Odebrał z rąk moich teczkę z adresem i głosem, w którym brzmiała widocznie przyjazna nuta rozpoczął odpowiedź. Mówił świetnie, zarówno pod względem formy jak doboru wyrażen i sposobu wygłoszenia; znać było odrazu znakomitego gracza politycznego, pierwszorzędnego mowcę, a przytem męża stanu ostrożnego aż do przesady — jeśli może być przesada w ostrożności. Mówił widocznie bez przygotowania, bo w części jego mowa była odpowiedzią na moją; mówił dość długo, przeszło kwadrans, co jest rzeczą niezwykłą na audyencyach.

Niemogłem, niestety, zanotować całości jego przemówienia, zbyt było długie i bogate, ale starałem się przynajmniej szkic jego mowy utrwalić i podaję go tutaj na podstawie notatek skreślonych wkrótce po posłuchaniu :

Panowie!

Jestem głęboko wzruszony tym dowodem uznania, jaki otrzymałem od Panów i waszego staro- Uniwersytetu; przyjmuję go z prawdziwą wdzięcznością. Ale niemniej muszę wam podziękować za to, że tak słusznie podnosicie wartość zasady Sprawiedliwości, którą pragnę się zawsze kierować. Tak jest; mą zasadą jest w istocie jedynie tylko sprawiedliwość wobec narodów i teraz też, podczas konferencji pokojowej na tej tylko zasadzie oparci, chcemy rozstrzygać trudne kwestye, które na nasz stół pod obrady przychodzą.

A mamy bardzo wielkie zadania do spełnienia! Będziemy musieli zmienić mapę Europy i mogę Panów zapewnić, że zmiany będą wielkie. (Zwracając się do prof. Romera) Pan, jako geograf, będzie miał bardzo wielką pracę i wiele zmian do zanotowania! Ale, proszę Panów, wszakże pracujemy przy jednym stole z waszym przedstawicielem, panem Dmowskim i możecie być pewni, że pracować będziemy według istotnej zasady sprawiedliwości. To, jedynie słuszne uczucie moralne, musi nam przewodniczyć podczas obrad.

Ale wartość tych moralnych zasad musi się objawić i w innej dziedzinie, w dziedzinie wiedzy.

Mojem zdaniem Niemcy bardzo obniżyli wiedzę i postawili ją na fałszywych podstawach. Ich wiedza szła głównie w kierunku praktycznym, kierowała się tylko w stronę korzyści materyjalnej,

z której wyrodzić się mogły i złe czyny; ale brak jej było podstawy moralnej.

Wiedza, ten wykwit ducha, musi wyrosnąć na gruncie całej natury ludzkiej, musi mieć głębokie podstawy nie tylko w umyśle, ale w sercu, a nawet w uczuciu; musi mieć podstawy moralne, inaczej zwyrodnienie.

Myśmy wszyscy byli pod wrażeniem i wpływem zimnej nauki niemieckiej. Teraz przyszedł czas, aby się z tego otrząsnąć. Musimy zacząć od podstaw, musimy podnieść zasady moralne, przeciw poziomym, materyalnym. I możecie Panowie być pewni, iż pragnę, aby w tym kierunku posunął się rozwój ludzkości!

Jeszcze raz serdecznie Panom dziękuję; jako profesor jednego z najmłodszych uniwersytetów — bo nasze, amerykańskie uniwersytety wogóle są bardzo młode — (tu uśmiechnął się nieco) umiem tem bardziej ocenić ten zaszczyt jakim mię darzy wasza stara, sławna Wszechnica.

Skłonił nam się przyjaźnie, podał każdemu rękę, zamienił jeszcze parę słów z Dmowskim — i tak posłuchanie się zakończyło.

Wyszliśmy pod jaknajlepszem wrażeniem. Sama osoba prezydenta Wilsona jest bardzo interesująca; to człowiek, po którym od razu poznać niesłychany spryt polityczny; ma trochę cech człowieka niezbyt dawno powołanego do odegrania wybitnej roli, ale też jest w nim coś z starej rasy anglosaksońskiej. Nie jest przy-

stojny; twarz trochę za długa, rysy trochę ostre; ale ma w sobie pewien wdzięk, zwłaszcza w mowie. Mówi spokojnie, ale akcentuje wyrażnie i dobitnie; kiedy mówił o obniżeniu wiedzy przez Niemców, brzmiał w mowie ton człowieka, któremu się krzywda stała. Ubrany w strój wieczorowy, t. z. smoking, leżący na nim bez zarzutu, ruszał się może trochę sztywno, ale zupełnie swobodnie i znać było, że w królewskim pałacyku Muratów czuje się dobrze i na właściwym sobie miejscu.

Ton jego przemówienia brzmiał szczerze; miałem wrażenie, że jest to człowiek uczciwych i prawych zasad, może trochę „profesor“ zapatrzonej w teoretyczne ideały, w wymarzony przez siebie świat, który się rządzi wyższą moralnością. Może to prawda, że jest on pod wpływem Metodystów, może istotnie pragnie osiągnąć życie do teorii, ale zasady jego są szlachetne; wszakżeż jego zdanie, iż wiedzę należy oprzeć na podstawach moralnych i na uczuciu, wyrzekł dawno przed nim Mickiewicz, a dziś uznają je wszyscy, szlachetniej myślący uczeni!

Mało powiedział nam prezydent Wilson o Polsce; jego zdanie o sprawiedliwości, której wymiaru pilnuje nasz przedstawiciel, to wzór wyrzeczenia ostrożnego dyplomaty. Kiedy jednak opowiedziałem tę rzecz politykom, zapewnili mię, że to wyjątkowo wiele, że audyencya wyjątkowo korzystna. Widziałem też, że Dmowski był z przebiegu całego posłuchania bardzo zadowolony; wszyscy uznali też, że krok Uniwersytetu Krakowskiego był doskonałym posunięciem politycznym.

Audyencya u p. Clemenceau, prezydenta ministrów, ministra wojny, a zarazem jednego z najgłówniejszych kierowników konferencji pokojowej, wypadła w dwa dni po posłuchaniu u prezydenta Wilsona, dnia 10-go lutego o 11-ej rano. W tym samym składzie jak i poprzednio, t. j. profesorowie Romer, Czekanowski, Stroński i ja, zebraliśmy się w lokalu Komitetu Narodowego i wyruszyliśmy na Rue St. Dominique, do Ministerium wojny, tym razem prowadzeni przez p. Erazma Piltza, jako uppełnomocnionego przedstawiciela Komitetu przy rządzie francuskim. Warta przy bramie gmachu przepuściła nas z łatwością. Na dole gmachu, w wspaniałej sieni, uzbrojonej armaturami, kunsztownie poukładanemi z pałaszów, pancerzy i innego sprzętu wojennego, znów odbyła się kontrola naszych osób. Wpuszczono nas wreszcie do poczekalni na pierwszym piętrze, dość poprostu urządzonej i rozgrodzonej na dwie części dużym parawanem; tutaj podaliśmy nasze bilety urzędnikowi siedzącemu przy stoliku koło wejścia.

W chwili kiedy wchodziliśmy do poczekalni, rozgrywała się dość dziwna scena: przy urzędniku odbierającym bilety stał jakiś wysoki mężczyzna w futrze, z dużą brodą i miną raczej rosyjską niż francuską. Trzymał bilet w ręce i coś gorąco tłómaczył urzędnikowi; ten stał sztywno i rzucał tylko krótkie pytania: „Jak pan tu mogłeś wejść, nie mając legitymacyi? Kto pana tutaj puścił? Czy pana widziała warta przy drzwiach?” Za chwilę jegomość w futrze wychodził jak niepyszny, a urzędnik telefonował do kontrolorów w sieni stojących: „Tego pana z brodą, w futrze, proszę zatrzymać na dole

i wypytać o legitymacje; on tu wszedł nieupoważniony i niezapowiedziany!...” Co się tam dalej stało, tego już nie wiem. Samo zajście dowodzi, że widocznie jest rozciągnięta opieka nad osobą opatrznościowego męża Francyi, ale czy dość silna, skoro aż do ostatnich drzwi mogą dostać się niepowołani, o tem trochę powątpiewam.

Za chwilę poproszono nas do gabinetu p. Clemenceau. Wchodząc ujrzałem go jak stał przy drzwiach, trzymając za klamkę; na twarzy przeziły, pogodny uśmiech. Podał każdemu rękę w chwili kiedy nas p. Piltz przedstawiał, podprowadził do dużego stołu, przy którym stały niskie mahoniowe, ciemno obite fotele i uprzejmie poprosił by usiąść. Sam usiadł blisko rogu stołu i blisko nas; wówczas widziałem doskonale tę jego twarz przepyszną, twarz człowieka starej rasy. Ogromne czoło występujące z dużej a kształtnej głowy; potężne brwi jakby dwa pasy srebrnoszarych krzaków, przesuwające się wysoko ku górze lub opadające do pół oczu, niewielkie, lecz pełne, opuszczone i lekko podcięte wąsy, a cała twarz ruchliwa i zmienna jak fala morska — to wszystko czyni imponujące, ale zarazem i tak miłe wrażenie, że nie strach lecz ufność wzbudzić może. Na głowie miał małą czapeczkę „bibliotekarską”; na szerokich barach czarna kurtka, na potężnych rękach szare rękawiczki, jako ochrona przed zimnem. Cała postać poważna i silna, ale nie pozbawiona pewnej dobroduszości; znać w niej wolę i moc, ale znać też i potęgę silnych uczuć.

„Alors, Messieurs, je vous écoute...” powiedział

do nas gdyśmy miejsca zajęli; wówczas rozpocząłem francuską przemowę:

Panie Prezydencie Ministrów!

Wraz z mymi kolegami przychodzę do Pana jako reprezentant Uniwersytetu Krakowskiego, najstarszego z polskich, a jednego z najdawniejszych w Europie, który od przeszło pięciu stuleci był nie tylko źródłem i ośrodkiem życia umysłowego w Polsce, lecz także schronieniem polskiego ducha i uczucia narodowego w najsmutniejszych epokach naszej historii. Przychodząc tutaj, przyносimy Ci nie tylko wyrazy hołdu od naszej korporacji, lecz także chcemy dać wyraz uczucia całego naszego Narodu. A to uczucie, mogę zapewnić, jest bardzo silne i bardzo głębokie!

Znamy Cię dobrze i uznajemy nie tylko jako sławnego i potężnego zwycięzcę niemieckiej brutalności, nie tylko jako tego, który tyle razy okazał głęboką sympatię dla Polski, ale też jako tego męża, który, będąc zarazem prezydentem ministrów i ministrem wojny, myśli i troska się o naszą Armię polską, tak nam drogą i tak bardzo wyczekiwaną w naszym kraju.

Zna Cię i Uniwersytet Krakowski i dlatego polecił mi, bym Ci przedłożył następujący a d r e s:

„Panie Prezydencie Rady Ministrów!

Francja miała zawsze ów zaszczyt nieporównany, iż była kolebką swobody i sprawiedliwości. Podejmując z zapałem zadania, które wszystkich ludzi jedna-

kowo dotyczą, Naród francuski u każdego zakrętu dziejowego pochodu idzie bez wahania za tymi, którzy życie poświęcili ludzkości; pobudza go niezmierne marzenie, odmładzające bez końca jego chęć bohaterstwa.

Skąpana w potokach krwi i w strumieniach łez, ludzkość idzie ku przeznaczeniom nieznanym. Francya kroczy znów pierwsza w szeregu narodów, głosząc prawdy, które nad dziejami panują, prawdy, których dotychczas nigdy siły brutalne zgładzić i stłumić nie potrafiły.

Doprowadzeni zostaliśmy znowu do jednej z owych chwil twórczych, w których losy świata mają być rozstrzygnięte. Wszakże widzieliśmy zmartwychwstałe cnoty rodzajne, które kryją się w łonie narodów, tryskając dopiero w dniach strasznych i wielkich. Cześć ludziom, którzy umieli rozkazywać przeznaczeniu w rozstrzygających godzinach! Cześć męstwu, jeśli zdołało wzniesić się nad poziom każdego innego dążenia!

W Panu witamy męża, Panie Prezydencie, który jest dzisiaj wcieleniem geniuszu swego Narodu. Cenimy w Panu Francję, starszą Polski siostrzycę, przyjazną jej w dniach ponurej niedoli.

Święta sprawa wolności jest węzłem, który łączyć będzie zawsze obydwie nasze Narody. Polacy poślubili tę sprawę ze wszystkich sił duszy! Polska, rozdarta i pokrwawiona, nie pogodziła się z losem i nie zwątpiła o własnej przyszłości. Rzucając wyzwanie mówiącym, że ona umiera, nie przestała nigdy wznosić głosu z głębi przepaści, nie przestała praw swoich żądać i ciemnych oskarżać.

Od pięciu wieków Uniwersytet Jagielloński poczuwa się do obowiązku strzeżenia ducha swojego Narodu. W dzisiejszej, uroczystej chwili dziejowej, Uniwersytet ten jest tego świadomy, że wyraża jedno wspólne polskie uczucie, gdy prosi Pana, Panie Prezydencie, ażebyś nie odrzucił jego skromnego hołdu. Zechciej Pan przyjąć godność Doktora Filozofii honoris causa, którą Ci ofiarujemy; zechciej pan poczytać ją za dowód naszego uszanowania, naszej wdzięczności i naszego podziwu.

W Krakowie, dnia 23. grudnia 1918 roku.

Rektor: X. Sieniatycki.

Dziekan Wydziału filozoficznego:
Waleryan Klecki.

Wręczając tekę z adresami, zakończyłem:

Daruj, Panie Prezydencie, że w obecnych warunkach nie mogliśmy przywieźć Ci oryginalnego dyplomu. Przyjmij ten adres tak szczerze, jak szczerze my go ofiarujemy i pozwól, że i Tobie powtórzę formułę z naszych dyplomów doktorskich: *Quod felix, faustum, fortunatumque sit!*“

Skończyłem przemowę: Clémenceau milczał przez chwileczkę i z przemiłym uśmiechem, przechylając się ku nam, zaczął:

„Panowie,

jestem Wam nieskończenie wdzięczny za to, coście mi powiedzieli; lecz najbardziej wzruszył mię Wasz sposób wyrażania się i sąd Wasz o Francyi. Macie słuszość,

i ja też tak sędzę, żeśmy teraz podjęli wysiłek dla dobra ludzkości.

Doprawdy, niemasz narodu, któryby więcej cierpiał niż Polska. Wasz kraj był rozdzielony, poćwiartowany i rozdarty, umęczony i zgnębiony. (Każde z tych słów akcentował, uderzając lekko ściśniętą pięścią w stół). On cierpiał najwięcej, on też musi być pierwszym, kiedy przyjdzie godzina restytucji i reparacji!

Mam z mej młodości wspomnienie na całe życie. Było to w Nantes w roku 1848. Widziałem polskich emigrantów, jak przechodzili z karabinami na ramieniu. Słyszałem, jak i co mówili. I wówczas to po raz pierwszy dowiedziałem się, że jest kraj, który tak bardzo cierpi; i nigdy tego nie zapomniałem, bo to jest wspomnienie wyryte głęboko w mej dziecięcej duszy.

Będzie temu dwanaście lat, jak byłem w Krakowie; zwiedzałem miasto i ogromnie mnie zajęło. Ujrzałem tam kulturę wykwitłą wysoko, rafinowaną. I wówczas powiedziałem sobie: „Przecież Polska żyje, boć przecież istnieje miasto polskie, takie jak Kraków, Wy naprawdę jesteście, Wy pracujecie!” I teraz rozchodzi się o to, by Wam dać to, co wam się należy!

Ja sam bez trudu rozumiem Wasze dążenia, bo to wypływa z mych uczuć, które mam dla Was od tak dawna.

Lecz taksamo i Francja i świat cały za Wami stać musi, boć przecież Polska jest Francją Wschodu, tak jak Francja jest Polską Zachodu!

Ale, wszak wiecie, że bywają wrogowie w czasie wojny, ale bywają też w chwili pokoju. Nie mogę tu

wchodzić w szczegóły; za daleko by nas to zawiodło. Ale z pewnością nie będę niedyskretnym, jeśli Was zapewnię, że wszyscy jesteśmy zupełnie zgodni w tem, iż Polskę należy odbudować jako wolną i zjednoczoną.

Dałbym Wam jednak radę: bądźcie między sobą zgodni!

Tu dorzuciłem: „Wszak to już się stało!” — on zaś odpowiadając, rzecze: „Tak, tak, lecz trzeba to pogłębić!” i ciągnął dalej:

Teraz o to się rozchodzi, by Wam dać pomoc wobec stanowiska Niemiec. Powiedzieliśmy Wam, byście Niemców nie atakowali; Niemcom powiedzieliśmy, by Was przestali zaczepiać. Lecz Niemcy nie chcieli się temu poddać; trzeba ich więc do tego doprowadzić.

Mówiło się o posłaniu Waszej armii do Gdańska i Torunia; lecz aby zabezpieczyć tę linię dość długą, trzeba by posłać conajmniej ze dwie nasze dywizye. Teraz tego zrobić nie możemy; postawiłem więc wniosek, aby na Niemcy wyrzucić nacisk z naszej strony, tu, gdzie mamy swobodny do nich dostęp, gdzie pokój panuje. W tej chwili nie mogę powiedzieć, jaka ostatecznie zapadnie decyzja; za kilka dni dowiecie się wszystkiego.

Wogóle mogę Wam powiedzieć, że my, alianci, jesteśmy wszyscy jednomyślni i zgodni w dążeniu, by naprawić tę niesprawiedliwość i krzywdę, jakiej Polska doznała. Nie było w historii większych zbrodni nad podziały Polski; trzeba je przede wszystkim naprawić. Zapewne, będą wysuwane różne żądania ze strony narodów, które teraz uzyskały wolność; ten będzie żądał

jednej, ów znowu innej dziedziny, lecz to są sprawy podrzędnego znaczenia. Najważniejszym jest to, że wszyscy chcemy Polski wolnej i silnej!

Zapewniam Was, że z mej strony wszystko uczynię dla tej sprawy, co tylko będzie w mej mocy!

Raz jeszcze dziękuję Wam szczerze za to, coście mi przynieśli i proszę, wyrażcie odemnie podziękę Waszym kolegom i rodakom“.

Tu powstał, serdecznie rękę mi uściśnął; wymieniliśmy jeszcze słowa podzięką za tyle dobrego, ile nam powiedział. Odprowadził nas do drzwi i serdecznym uśmiechem pożegnał.

Wyszliśmy zupełnie oczarowani i oszołomieni z tego posłuchania! „Le vieux tigre“, jak go w Paryżu nazywają, okazał się szczerym i prawdziwym przyjacielem Polski, tak nam bliskim duchem i pojęciami, jak nikt inny z obcych!

Pan Piltz wzruszonym głosem przedkładał nam, że teraz trzeba całą mowę prezydenta odrazu spisać, aby nie uszła z pamięci, bo jej ton i treść mają znaczenie historycznego aktu. Milczeliśmy, nie mogąc słów znaleźć na wyrażenie uczuć, które nami owładnęły; czuliśmy, że mamy obrońcę pewnego i szczerego naszej sprawy. A że szczerze mówił, to widać było z każdego słowa, z każdego ruchu, którym dobitnie akcentował wyrazy. Oczy mu błyszczały, silna pięść zaciskała się, a twarz zmieniała co chwila, zawsze pełna wyrazu siły i nieugiętej woli, a dobrej woli dla nas. Mało miałem w życiu momentów, któreby tak potężne, a tak podniosłe wywarły na mnie wrażenie.

Razem z Romerem i Strońskim spisaliśmy odrazu przemówienie Clémenceau. Nie dawaliśmy go w całości dziennikarzom, którzy nas oblegli, lecz tylko w krótkim streszczeniu; tak jak je tutaj pomieściłem jest, zdaje mi się, zupełnie wiernie zanotowane.

Uniwersytet Jagielloński, nadając tytuły doktorskie najwybitniejszym mężom stanu, zwłaszcza zaś Wilsonowi i Clemenceau, dał wyraz uczuć, jakie panują w całym narodzie polskim; był to więc akt polityczny ze strony instytucji mającej tylko kulturalne zadania. Ten zaś akt był we właściwej chwili i w dobrej formie; zrobił on też doskonałe wrażenie. O obu audyencyach były dłuższe artykuły lub serdeczne wzmianki w prasie; wiedzieli o nich i przychylnie je oceniali wszyscy obcy, zwłaszcza uczeni z biur kongresowych. I znów okazało się, że słowo naszej starej Wszechnicy ma znaczenie, że ona doprawdy czuwa nad narodem i w dziejowych momentach, jeśli zabiera głos, to jest on nietylko wołaniem silnem, słyszanem przez świat cały, ale zarazem kieruje naród na słuszne tory i niesie mu istotną korzyść!

Z POWROTEM.

Sprawy, których załatwienie polecił mi K. B. K. i Uniwersytet dobiegały do końca lub przybrały taki obrót, iż moja akcja stawała się zbyt ciężką. Apropowizację najbiedniejszej ludności złączono z zaopatrzeniem całej Polski i tę sprawę wzięło osobne grono w swe ręce; akcja Czerwonego Krzyża Amerykańskiego dla Polski przybierała już określoną formę wyprawy do Warszawy.

Gotowałem się więc do wyjazdu. Przez Komitet Narodowy otrzymałem dyplomatyczny paszport; wizę francuską i czeską sam sobie wyrobiłem z łatwością; ponieważ zaś miałem jechać pociągami specjalnymi, nie zatrzymującym się w Szwajcaryi ani w Austrii, więc wizy poselstw tych krajów były niepotrzebne. Załatwiłem ostatnie sprawunki; dzięki pośrednictwu i uprzejmości p. Łazarskiego otrzymałem całą pakę lekarstw i ogromną pakę lalek dla schronisk dziecinnych K. B. K. i wreszcie zakupiwszy ostatnie gazety z nowinami, udałem się na dworzec Wschodni.

Pociąg luksusowy, z samych wagonów sypialnych i wozu restauracyjnego złożony, z napisami na wagonach:

Paris—Varsovie, Paris—Boucarest, Paris—Prague, łączący zatem cały Nowy Wschód Europy, stał w pogotowiu. Każdy podróżny musiał mieć pozwolenie od Ministerium Wojny francuskiego na jazdę tym pociągiem; każdemu przysługiwało prawo wzięcia 100 kg pakunku wolnego od opłaty. Cały pociąg, oznaczony trójkolorowym znakiem Francyi, jest uznany za exterytoryalny i daje ochronę koalicyi wszystkim jadącym; ten, którym jechałem, był dopiero trzecim z przebywających drogę ku Polsce.

Wyruszyliśmy wieczorem 18-go lutego. Na rano byliśmy w Bazylei i zatrzymując się tylko po kilkanaście minut w Zürichu i w Buchs, przesunęliśmy się przez Szwajcaryę. Na drugi dzień dotarliśmy do Wiednia, tak pusto i smutno wyglądającego, jak nigdy go jeszcze nie widziałem. Odczepiono nasz wagon od głównego pociągu iłączono z nowym, jadącym ku Polsce; wagon pragski odczepiono w Lincu.

Na granicy czeskiej, w Brzeclawie, nie było wcale rewizyi paszportów; dopiero w smutnym i pustym Boguminie, zajętym przez Czechów, trzeba było czekać niesłychanie długo, bo jakieś tam ceremonie Czesi załatwiali z pociągiem. Linia bojowa przebiegała wówczas koło Pruchny, tam spotkaliśmy najpierw polskie placówki, potem większy oddziałek wojska. W naszym wagonie rewizyi nie robiono. Wszedł tylko oficer, który spytał się jadącego z nami pułkownika francuskiego, czy wszyscy jadący są z Francyi i pod jej ochroną, a otrzymawszy zapewnienie, że niema nikogo podejrzanego, cofnął się do swego oddziału. Żołnierz

towarzyszający oficerowi przez ten czas opowiadał mi, jak to Czesi ciągle ich napadają, jak 20-go lutego w południe otwarli ogień armatni na Pruchnę, jak wojska polskie siłą trzeba powstrzymywać, by nie atakowały Czechów, do których cały kraj czuje żal i nienawiść z powodu ich podstępного postępowania.

Przyjechawszy do Trzebini opuściłem wagon koalicyjny i na rano dnia 21-go lutego byłem w Krakowie. Powrót trwał trzy dni, podczas gdy jazda do Paryża trzy tygodnie!

Wracając do kraju, przejechałem przez jedną z linii bojowych, otaczających naszą młodą Polskę z trzech stron; zetknąłem się z tym bólem i z tą krwią, którą kupujemy wolność i nasz byt państwowy. Od tych, którzy myślą o nas na kongresie światowym, przejechałem do tych, którzy cierpią, ale cierpią wiedząc za co i dlaczego, cierpią pracując dla siebie samych. I pierwszą myślą, która mi się nasunęła, było: Jeśli złączymy naszą myśl, rozum, wolę i pracę, jeśli tu, w kraju, będziemy działać energicznie, a w spokoju wewnętrznym, a tam, w Paryżu, w zgodzie z nami działać i myśleć o nas będą nasi zastępcy, to, mimo wszelkich złych potęg, które nas chcą powalić, osiągniemy to, czego nam potrzeba a czego tak pragniemy i będziemy mieli napewno Polskę wolną, całą, zdolną do życia i na zawsze niepodległą!

WILNA
UNCS
LUSLIN

SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Strona
PRZEDMOWA	5
DO PARYŻA	7
PARYŻ	37
W POLSKIM KOMITECIE NARODOWYM	49
MAPA ZIEM POLSKICH	73
NIECO O WIELKIEJ POLITYCE	79
MIEDZY OBCYMI	99
Z KOLONII POLSKIEJ W PARYŻU	111
WŚRÓD WOJSKA POLSKIEGO	121
„HONORIS CAUSA“	139
Z POWROTEM	159

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

405-

Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A24561

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki



1000171915